Numer 20. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 13 Maja 1928



KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: **Konto pocztowe 406 301 Kraków.**

Prosimy o wyraźne pisanie adresów i podawanie także ostatniej poczty.

Na jarmarku.

— A macie Icku świadectwo od tego gniadego konia?

— Miałem, ale zgubiłem.

— To ja się boję go kupić.

— Nie bójcie się, Wojciechu, ja wam daję słowo honorowe, że koń ten nie był nigdy kryminalnie karany?



Słuszna racja.

Mąż: Mój przyjaciel twierdzi, że kobiety potrzebują więcej snu, niż mężczyźni.

Żona: Tak?

Mąż: Naturalnie! Dlatego sądzę, że będzie lepiej, gdy w nocy na mnie nie będziesz czekała, tylko się spać położysz.



U dentysty.

— Kto z państwa czeka najdłużej! — pyta z uśmiechem dentysta, uchyliwszy drzwi do poczekalni.

— Ja, proszę pana — odzywa się jakiś głos — jestem pańskim krawcem i czekam już dwa lata na zapłatę za ubranie, które pan nosi.

Nasze żony.

— I cóż Marysiu, dobrze bawiłaś się na wczorajszym balu?

— Znakomicie! Mąż był tak zazdrosny, że... poprostu zepsułam mu cały wieczór.



Przytomność umysłu.

Uczony, jeżdżący konno, skończył siodłać wierzchowca, nakłada uzdę, a mały chłopak obok skręca się w uśmiechu.

— Co to takiego?

— Panie, pan założył siodło na odwrót.

Uczony jest roztargniony, ale nie lubi uwag, więc w lot:

— A skąd ty wiesz, durniu, w którą stronę ja pojadę?



Nocny napad uliczny.

— Dać tu portfel!!

— Och, panie... żona mi napewno nie uwierzy! Już tyle razy wyłgiwałem się jej z braku pieniędzy tem, że mnie obrabowano...

Numer 20. XI. Rok Kraków, dnia 13 Maja 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Hej, wiochna idzie...

Cicha majowa noc uśpiła w szarych ramionach świat. Na stropie nieba roją się toczące globy gwiazd — czasem która oderwie się i leci w przestworzach ognistą szarfą, niosąc złudę szczęścia dla tych, co w onej chwili o niej śnią.

Księżyc blady, jak mgłą osnute ranki, mknie i rzuca po ziemi strugi promieni.

Cicha majowa noc, od zabagnionych topieli, niesie klekot rozespanego boćka, a z nad gaju olszynowego charczący krzyk puszczyka i namiętne miłością, niby czarodziejskie zaklęcia, niby rzewne prośby, niby westchnienia żałosne — pieśni słowicze.

Cicha majowa noc ukołysała kotki, zwieszone ku wodzie strumyka, w pragnieniu pieszczot, przytulenia — ukołysała biel kwiecia bzów i pąki kasztanów przydrożnych, a po ogrodach żółte narcyze i maluchne fiołki.

Taką majową nocą wiochna idzie, w kaskadach promieni, w opalach tęczy, od roześmianych błękitów, do chat — do ludzi — a oni śpią.

Znużył ich sen, rzuciła praca na barłogi zgniłej słomy, tłukące się smętkiem życia, serca.

Hej wiochna idzie, poprzez tkaninę łąk, plecioną mozaiką barw — w brylantach rosy, w zapachu jaśminowym, w pieśni skrzydlatych śpiewaków.

Rozwiała warkocze na szum rwiących się w górę kłosów, na fale rzek, na fosforyczne skry świętojańskich robaczków.

Rozwiała warkocze, rozniosła balsamiczną woń cudownego kwiecia — kołysze aromatem i czarem swym upaja.

Hej wiochna idzie — śni o niej sierota. Wyrzeźbił skrzypkę z lipowego drzewa i gra nad strugą, dla tej królewny, co ma oczy — niezabudki, lica-róże, usta-korale, a piersi, jak jagody — dla tej królewny złotowłosej, w brylantowej koronie.

I gra, choć się śmieją pastuchy na gromadzkiem — on gra i gra.

Hej wiochna idzie, pod płotem ogrodu śpi nieznany włóczęga-dziad.

Oj źle mu na świecie...

Posrebrzył włosy los, poniął zmarszczkami młodzieńczą jeszcze twarz. Rwie mnie tęsknica, szarpie boleść macocha, rozżagwiając w oczach wygnańczej doli gwiaździste perły łez, a po zapadłych policzkach kładzie pocałunki judaszowe.

Oj źle mu na świecie...

Nie zna dobrego słowa, nie zna uśmiechów radosnych, ani spojrzeń życzliwych, jeno szydercze naigrawające się skrzywienie ludzkich ust.

Oj źle mu na świecie...

Hej wiochna idzie, a ty umierasz dziecino.

Podniosła główkę, ku okienku suteryny i spojrzała pożegnaniem zamglonych ócz, na białe główki hjacentów.

Załkało w niej serce, słowami skargi, bo jej opuścić roześmiany życiem świat żal, a tam z oddali nocy już widno śmierci kroczy, w radosnym dźwięku dzwonka, w skowycie bezdomnego psa.

Załkało w niej serce — czegoś jej żal, czegoś jej żal...

Hej wiochna idzie — pójdźmy i my, nim nam na duszę padnie kwiat boleści, nim nas otuli świata pył — może już jutro... Więc pójdźmy, kędy kwitną konwalje — tam u krynicy złożymy młode życie, gdy powiędną wiosny kwiaty, by zakwitnąć znów o wiośnie, jak Feniks o skrzydłach archanioła polecim hymn zmartwychwstania wznieść!... *Marjan Skora.*

W niewoli tatarskiej.

Powieść z XVI wieku osnuta na tle historycznem

XIII.

Wielkie odkrycie. — Dowcipny Beppa. — Pracujemy jak krety. — Podziemie. — Wiewiórka.

— Kilka już miesięcy przeszło tej mojej niewoli, gdy jednej nocy, a mieliśmy już wtedy lampkę zawieszoną u kamiennego sklepienia jaskini naszej, obudził mnie ze snu jeden z towarzyszy, Włoch, dawny majtek „Gołębicy", nadzwyczaj sprytny chłopak.

— Chodźno pan — mówił do mnie z cicha — mam coś ciekawego do pokazania! — prowadząc mnie w głąb jaskini, która się z jednej strony przedłużała w ciemny i wązki niby kurytarz, odsunął na bok kilka kamieni i ukazał mi szczelinę w kamiennej ścianie. Niewielki to był otwór, o parę stóp nad ziemią, ale nachyliwszy się nad nim, czuć było jakiś powiew chłodnego powietrza. Zdziwiłem się mocno, bom tego nigdy przedtem nie był zauważył, Włoch zaś szybko i gadatliwie, a przytem po swojemu rękami wymachując i oczy przewracając, jak to oni czynić lubią, zaczął mi tłomaczyć, że on tę dziurę od dawna wyszperał i już ją nawet trochę rozszerzył, ale dopiero teraz zmiarkował, że to musi być otwór, prowadzący do naszej kopalni, bo w tę stronę był zwrócony.

— Trzeba — dodał — lepiej się o tem przekonać i dlatego staraj się pan jutro z całej siły bić kilofem (rodzaj toporu górniczego) w tę ścianę, obok której Harmodjus zwykle pracuje. Ja udam chorego i zostanę tutaj, a będę dobrze nasłuchiwał. Jeżeli tak jest, jak myślę, to, per Bacco! (ulubione zaklęcie Włochów) musimy się stąd wykopać, jak krety i uciec tym przeklętym szatanom, którzy nas żywcem zagrzebali.

— Trudno mi było z początku uwierzyć w to i zrozumieć pomysł dowcipnego Beppa (co po włosku znaczy Józiek), ale nazajutrz chłopak wywijał się na posłaniu swojem, krzycząc w niebogłosy tak, że dozorca musiał uwierzyć, iż mu straszne bóle szarpią wnętrzności i nie wypędził go na robotę, tylko zostawił w jaskini ze dzbankiem wody i kawałkiem placka. Wieczorem, kiedyśmy wrócili, leżał jeszcze Beppo, jęcząc z przewróconemi oczyma, że mu tylko białka widać było, ale zaledwie towarzysze posnęli, on znów wśliznął się do mnie i podskakując, jak szalony, szeptał radośnie:

— Słyszałem! słyszałem wybornie bicie w ścianę dziś rano! Prawda, że się wygłodziłem, jak pies, ale warto było! Będziemy wolni, tylko musisz mi pan pomódz. Wszystko będzie dobrze!

Zeczęliśmy już we dwóch oglądać ukryty w skale otwór i pokazało się, że nie trudno byłoby wykruszać zmiękłą od wilgoci ścianę i wydrążać coraz głębiej szczelinę, która musiała się przedłużać aż do naszej kopalni, jak twierdził Beppo. Kiedy go spytałem, skąd mu ta myśl przyszła, sięgnął do swych w gęste kędziory zwiniętych włosów i wydobył z nich malutki jakiś przedmiot. Przy słabem świetle lampki z trudnością poznałem, że to była maleńka busola, jak te, których używają marynarze, żeby się po morzu kierować, bo jest tam oprawiona igiełka, której jeden koniec zawsze ku północy wskazuje. Beppo, choć młody, ale rozmaite już miewał przeprawy i nauczył się rozmaitych figlów i podstępów, którymi sobie wszędzie poradzić umiał. Zepsuty był bardzo, ale jednak tkwiła w nim jakaś poczciwa iskierka, bo kiedy mi mówił o swej matce, która gdzieś tam, w Wenecji, na Lido za nim płakała, miał sam łzy w oczach. Mówił mi z najzimniejszą krwią, że jak tylko mu się udało coś ładnego, kosztownego ukraść dawniej, to robił piękny podarek najprzód matce, a potem świętej Madonnie, żeby mu dopomagała nadal.

— Ach, jakiż to niegodziwy człowiek! — wykrzyknęła Halka, nie mogąc już wytrzymać — to gorzej, niż prawdziwy poganin.

— Zepewne, że gorzej, ale Beppo był bardzo zaniedbany i nikt go nie oświecił, żeby poznał, co złe a co dobre. Mnie się nieraz udawało go przekonać i od złego odwieść; długie z nim toczyłem rozmowy, a że był sprytny i żywy jak ogień, więc wszystko w lot pojmował. Teraz jemu zawdzięczaliśmy plan, do którego wykonania wszyscyśmy się zabrać musieli. Najprzód Maksym i Harmodjus zostali przypuszczeni do tajemnicy, potem wszyscy się o niej dowiedzili, gdyż spólnych sił potrzeba było do wykonania długiej, trudnej i mozolnej pracy.

Trzeba było takiej nadziei, jaką dla nas świeciła myśl o swobodzie, żeby się porywać na podobne dzieło. Dość już trudności przedstawiało wyżłobienie skały, prawie bez narzędzi potrzebnych do tego, a cóż robić z ziemią i gliną, którą stamtąd wydobywaliśmy? Wysypana na ziemi w jaskini naszej zwróciłaby uwagę stróżów, bo się różniła od kamienia, w jakim kryjówka nasza wykutą była. Po długich a cichych naradach stanęło na tem, że pracowaliśmy kolejno po dwóch w nocy, nad ranem zaś zakrywaliśmy starannie otwór, a ziemię wykruszoną chowaliśmy pod ubranie, każdy po trochę i tak ją wynosiliśmy z sobą do kopalni, gdzieśmy ją ostrożnie wysypywali. Łatwo uwierzyć, z jaką to nam przychodziło trudnością, ale pracowaliśmy stale, cierpliwie, niczem się nie zrażając.

Trwało to bardzo długo; przez ten czas kilku towarzyszy nam ubyło, bo ich korsarze gdzieindziej zabrali, przybyło za to kilku nowych i tak przeszły blizko dwa lata. Czasem napotykaliśmy w skale takie twarde miejsce, że z największem wysileniem trzeba było kamień rozbijać narzędziami, zręcznie jakoś wykradzionemi przez Beppa z kopalni. Chłopak ten dziwów dokazywał, żeby nasze przedsięwzięcie do skutku doprowadzić; kiedyś już o mało go nie wzięto na galerę, gdzie musiałby na łańcuchu przykuty, wiosłem robić, ale jak zaczął po swojemu chorego udawać, musieli go zostawić.

Przy kamieniach teraz wszyscy dobrze pracowali i kłótni też coraz mniej było; dozorcy sądzili, że ja się do tego przyczyniam i dlatego może nie ruszali mnie z miejsca. Nie byłoby to tak dobrze szło, gdyby nie nadzieja, która wszystkich podtrzymywała; tak postępowała praca w naszem podziemiu, które się coraz dalej przedłużało.

Jednej nocy, grzebiąc tam, natrafiliśmy na dosyć dużą pieczarę, w bok idącą wprawdzie od naszego kurytarza, ale ta nam się wybornie przydała na wysypywanie ziemi, której już nie trzeba było wynosić tak mozolnie w odzieniu naszem. Do roboty przyświecaliśmy sobie małemi lampkami, które Harmodjus wyżłobił z marmuru, a my napełnialiśmy oliwą od jedzenia potrosze zostawianą. Raz, pamiętam, byliśmy w wielkim strachu; wśród ciszy nocnej rozlegały się uderzenia nasze o skałę i korsarze musieli je także usłyszeć, z rana bowiem dozorca pytał, czyśmy w nocy nie uważali jakiego huku podziemnego. Beppo, nie tracąc przytomności, odezwał się zaraz, że on to już nieraz słyszał i że pewnie musi się przygotowywać jakie trzęsienie ziemi, albo coś podobnego, bo wtedy za-

wsze z pod ziemi huk słychać. W tamtych krajach to nic dziwnego, ba, nieraz tak bywa, że cała wyspa zapadnie się w morze zupełnie, a znów w innem miejscu wynurzy się nowa.

I Turcy jakoś wierzyli temu, a my byliśmy ostrożniejsi odtąd i praca jeszcze powolniej postępować musiała. A jakie my to dziwne rzeczy znajdowaliśmy pod ziemią! Były muszle i ości rybie skamieniałe, a w pieczarze znaleźliśmy dużo kości ogromnych, jakby od wielkich zwierząt jakichś; były nawet i ludzkie, lecz musiały być bardzo dawne, bo stwardniały zupełnie na kamień. Beppo, grzebiąc między temi resztkami, wyciągnął duży, niezgrabny topór, ale nie z żelaza, tylko z bronzu i drugi mniejszy, z ostrego kamienia zrobiony. Uważaliśmy to za prawdziwy dar Boży i przydały się nam oba topory wybornie do roboty naszej. Kurytarz nie mógł być wysoki, więc trzeba było rąbać lub kopać, klęcząc; otwór zaś przedłużaliśmy w stronę kopalni, skąd zalatywał świeży powiew wiatru; to nam pozwalało oddychać swobodnie. Dochodził też szum morza coraz lepiej; widać, żeśmy się dobrze kierowali, ale nie wiedzieliśmy z pewnością, w którem miejscu kopalni kończy się podziemny kanał.

Beppo i na to znalazł sposób. Miał on wiewiórkę oswojoną, którą zawsze z sobą nosił w rękawie, albo na głowie. Jednego dnia zbliżył się do wielkiego dołu w kopalni i ostrząc topór o kamień na brzegu leżący, opuścił go niby niechcący. Nadzorca, stary Turek, ogromny jak olbrzym, ale kulawy, bo mu nogę kiedyś kula urwała, przyskoczył i uderzył po plecach niezgrabiasza za szkodę wyrządzoną, ale ten, niezmieszany, zaczął prosić, żeby mu pozwolili spuścić się do dołu, to się topór odnajdzie. Liny były pod ręką, bo ich używano w kopalni do dźwigania marmurów; za chwilę nasz Beppo, zawieszony jak ptak w powietrzu, zniknął w ciemnym dole. Trudno go było dojrzeć w głębinie, ale niezadługo dał znak krzykiem, żeby go wyciągnąć napowrót i zjawił się zdrów i cały z toporem, uwiązanym u pasa. Przez cały dzień pracował gorliwie, śpiewając i podskakując, jak gdyby go co bardzo dobrego spotkało.

Wieczorem, jak zwykle, zapędzono nas do jaskini, ale zaledwie kamień się zawalił, Beppo, nie czekając nocy, rzucił się zaraz do otworu i niebawem wyskoczył, unosząc nad głową wiewiórkę, którą całował i pieścił, a przytem rzucał się jak szalony z radości.

— Co się stało? — pytamy — i okazuje się, że dowcipny Włoch po to tylko spuścił się do dołu, aby się przekonać, czy kanał ów naturalny z naszej jaskini otwiera się rzeczywiście w owym dole, a natrafiwszy na otwór podobny, wpuścił doń zręcznie swoją wiewiórkę, zasłaniając wejście tak, żeby już wrócić nie mogła. Biedne zwierzątko wśliznęło się głębiej i póty się czołgało, aż natrafiło na kurytarz przez nas wykuty, gdzie ją właśnie Beppo znalazł. Teraz już nie było wątpliwości, że praca nasza na coś przydać się może, z podwójnym też zapałem wzięliśmy się do dzieła.

XIV.

Wielkie dzieło ukończone. — Nowi towarzysze. — Łódź zbawcza. — Noc upragniona. — Nowe trudności. — Poświęcenie. — Znów niewola.

— Nie mogę pojąć — odezwała się pani Bohowitynowa — jakim sposobem myśleliście uciekać, nawet gdyby się udało dostać do tej kopalni; przecież wyspa należała do tych strasznych korsarzy, a statku nie mieliście, żeby stamtąd wypłynąć.

— Właśnie, mateńko, nad tem najwięcej głowy sobie łamaliśmy, ale od czegóż Beppo, który na wszystko poradzić potrafił. Jednej nocy, a było to już przeszło dwa lata, jak pracowaliśmy w podziemiu naszem, ja i Beppo, z siekierami w ręku, rozbijaliśmy skałę wapienną, kiedy nagle cała usunęła się przed nami, chłodne powietrze wionęło prosto w twarz, a przed oczyma zabłysło światełko jakieś. O, Boże wielki! wykuta galerja marmurowych łomów otwierała się wprost ku morzu. I tamtędy z błękitnego Nieba zabłysła gwiazdka, jak gdyby nam drogę wskazać chciała. Ja, klęcząc, wzniosłem ręce do Nieba, łzy mi twarz zalewały, a usta szeptały słowa dziękczynienia dla Wszechmocnego. I Beppo padł twarzą do ziemi, modląc się, płacząc i śmiejąc zarazem.

Łatwo się domyśleć, jak się wszyscy towarzysze radowali, jak jeden po drugim wślizgiwał się do otworu, żeby spojrzeć na Niebo i odetchnąć pełną piersią powietrzem, co od morza wiało. Trzeba było tem większej mocy, żeby ich utrzymać w spokoju i cierpliwości, nim się da urządzić coś dla wyprowadzenia nas z tej korsarskiej kryjówki. Kilku z towarzyszy, niosąc kamień do przystani, przypatrzyło się już cokolwiek wyspie i jej wybrzeżom; teraz Beppo wymykał się każdej nocy, żeby lepiej zbadać okolice.

Nie będę już opisywał, ile to trudności przedstawiało się na każdym kroku, czy to w przytwierdzaniu liny do dołu w kopalni, czy w prześlizgiwaniu się niepostrzeżenie, aby nie być schwytanym przez korsarzy; dość, że wkońcu Beppo upatrzył sporą łódź w przystani ukrytą a mogącą nas wszystkich pomieścić, i postanowiliśmy próbować szczęścia, jak tylko nasi korsarze udadzą się na wyprawę. Wybierali oni do tego najczęściej noce ciemne, a znając wybornie przesmyki i kryjówki około swojej wyspy, przesuwali się bez szwanku między skałami i rafami podwodnemi, których tam było mnóstwo. Dla tych też raf zapewne żaden okręt obcy nie zawadził nigdy o wysepkę naszą i rabusie czuli się tu bezpiecznymi.

Czekaliśmy więc niecierpliwie nowiu księżyca do uskutecznienia naszej ucieczki, kiedy niespodzianie przybyło nam dwóch jeszcze towarzyszy. Jeden był to kupiec z Francji. Porwany na wybrzeżu prowanckiem, rozpaczał srodze, zostawił bowiem żonę i kilkoro drobnych dzieci; drugi, także Francuz, młody chłopak, jedynak u matki wdowy. Trzeba im było odkryć tajemnicę podziemia, a teraz już dwunastu prócz mnie znajdowało się niewolników w jaskini naszej.

Nadszedł wreszcie dzień wielki, upragniony. Od rana już, pracując w kopalni i wyciągając kamienie na wybrzeże, zauważyliśmy ruch niezwykły z daleka na wyspie; musieli się rabusie gotować na większą wyprawę i wcześniej nawet, niż zwykle, zapędzili nas na nocleg. Czas był pochmurny i pod wieczór nawet mgła zaczęła się unosić nad wybrzeżem. Skorośmy zostali sami, ja ukląkłem, jak zwykle, do pieśni wieczornej, po której odśpiewaniu padłszy na twarz, gorąco się modliłem o powodzenie naszego przedsięwzięcia. I głucha nastała cisza, a każdy w skupieniu ducha musiał po swojemu korzyć się przed Władcą Wszechrzeczy, którego w takich chwilach dusza najmocniej uznaje. Potem wstaliśmy, zabierając się do podziemia; a trzeba było wielkiej ostrożności i porządku; przez ciasny kurytarzyk po jednemu tylko wysuwać się mogliśmy i to pełzając na czworakach czasami, a każdy wypoczywał chwilę w owej pieczarze, której znaczną część zasypaliśmy byli ziemią. Wygrzebawszy się aż do końca kurytarza, trzeba było znów, czepiając się

liny, za pomocą drabiny sznurowej, którąśmy już od kilku miesięcy mozolnie wyplatali, wdrapywać się na górę do kopalni. Wszystko to zajęło sporo czasu, zanim ja ostatni wydobyłem się z kryjówki naszej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak powstaje choroba?

Przez niemożność fizyczną dokładnego spełnienia swych funkcyj organów z powdu obarczenia, lub przez niemożność sprawowania swych funkcyj organów z powodu zniszczenia. Oto macie krótko i po chłopsku sformułowaną przyczynę wszystkich chorób. Z powodu obarczenia organów nadmierną pracą trawienia i wydzielczą spowoduje się ich osłabienie, skutkiem czego czemraz gorzej i wolniej pracują — co jest lekkiem niedomaganiem; i przez szereg lat spełniane też obarczenia wywołują niszczenie tychże organów w postaci naukową patalogją oznaczonych drugorzędnych cierpień takich jak: rak, suchoty, tabes, gicht, cukrzyca i t. p., — co jest cierpieniem ciężkiem i w żadnym wypadku niewyleczalnem przez zabiegi szkolnej medycyny. No, bo gdyby się umiało radykalnie zapobiec pierwotnym, lekkim niedomaganiom, to raczek i suchotki czmychnęłyby za siódmą górę, a tak musi się ślęczeć z mikroskopem w ręku i wymyślać śmiercionośne sera dla bakteryj, które zgoła takie niebezpieczne nie są. Jakto? Przecie cały świat naukowy dowiódł jak na dłoni, że inna bakterja tworzy raka, inna suchoty, a inna... Wszystko to prawda, a nawet święta, tylko, że pominęliśmy małe głupstewko, które by tę prawdę zmieniło, mianowicie: żadna bakterja nie rozwinie się w organizmie bez właściwego gruntu. Tedy bakterje nie są przyczyną choroby, ale tylko skutkiem.

Wytłumaczę się lepiej, gdyż koniecznie tego pragnę, aby obedrzeć prawdę z frazesów do tyla, żeby przed nami stanęła goła. Weźmy dwa słoje; w jeden wlejmy przegotowaną wodę, czyli odkażoną, a w drugi np. sok z malin lub innej jagody. Oba słoje nakryjmy, aby się do nich nie dostała jakaś nieczystość z powietrza i obserwujmy. Woda stoi spokojnie, podczas gdy sok poczyna się burzyć. Co to jest? Fermentacja. Mikroskop wykrył, że owocową fermentację wywołuje bakterja zwana drożdżami. Skąd wzięły się drożdże w soku? Przyszły z powietrza. A czemu opadły sok, a nie opadły wody? Bo sok jest ich właściwym gruntem, na którym zyskują i na sile i na rozwoju. Natomiast wodę, z chwilą gdy dłużej stać będzie opadną bakterje, dla których grunt stanowi psująca się woda. W całej Przyrodzie, wszelkie zmiany dokonują się drogą fermentacji. Gdy organizmowi podasz właściwy mu pokarm, tedy fermentacja także będzie właściwą, a wyprodukowane przez to soki łatwo i z korzyścią przyswajalne. Gdy jednak pokarm stosownym nie będzie i ciężkim, w tymże stopniu i fermentacja będzie niewłaściwą; jej soki mniej przyswajalne, rozpalające, a odpadki zalegające, na które dopiero rzucają się odpowiednie im, a niewłaściwe dla organizmu bakterje, wywołują chorobliwą fermentację.

Powiecie może, że co innego jest słój, a co innego organizm ludzki. Tak jest: co innego. Ale dla fermentacji są wszędzie jednakowe prawa. Jaki zaczyn (grunt) taka fermentacja. I w słoju i w ludzkim organizmie podczas fermentacji wywiązuje się cieplik, z tą tylko różnicą, że nieporządana fermentacja w organizmie żywym, wywołuje cieplik spotęgowany, czyli gorączkę z racji urządzeń samoobrony, których brakuje w słoju. Gdy organa wydzielcze (nerki, płuca, kiszki i skóra) funkcjonują sprawnie, wszystko jest w porządku i jakie takie wykroczenia uchodzą płazem. Ale niech tylko któryś z tych organów stale przeciążony, poczuje zmęczenie i odmówi funkcji, zawiązek nieraz długoletniego niedomagania już zrobiony. To, co ma być wydzielone, już zalega i gnije, już w krew wsącza się jad, już humor człowieka kwaśny, czuje się nie swój, lub ból głowy go męczy.

Człowiek, posiadający dobrą siłę żywotną, w takim wypadku ma wielką niechęć do jedzenia. Co to jest? Sygnał, że ustrój obarczony, nie może się uporać z pracą: żąda wytchnienia i powstrzymywania się od pokarmów, które nie będą mogły być przetrawione i zasymilowane. Człowiek rozumny, zrobi jak chce organizm, ale nieznający się na rzeczy samolub, sam, lub na zarządzenie lekarza (będącego nim z tytułu naukowego, a nie z bożej łaski) zaczną męczyć nieposłuszne organy podnietami, jak konia obarczonego — batem, i od tej chwili, zaczyna się klęska siły żywotnej i zabrudzanie organizmu obcą materją. Na usunięcie takiego niedomagania wystarczyłoby czasem pół dnia postu, ale cóż to za wysiłek! Boli głowa z powodu przeładowania, bierze się aspirynę, lub na przeczyszczenie: dwa grube błędy, gdy chodzi o cierpienia stałe, a nie chwilowe), które nie ujdą bezkarnie, bo osłabiają ustrój wcale przyczyny nie usuwając. Zwłaszcza ten ból głowy! Zamiast działać odwodząco wspierając wysiłek organizmu, działa się paraliżująco na nerwy śmieciem fabrycznym, pozbawia się wrażliwości na sygnały niebezpieczeństwa, a po jakimś czasie gnije się wewnątrz nic o tem nie wiedząc! Zatrucia lekarstwami stworzyły daleko więcej zniszczenia niż choroby same, o tem wiedzą już wszyscy niemal inteligentni ludzie, ale mając wolę, nie chcą zapobiegać nieszczęściu wstrzemięźliwością w jadle i napoju, nie chą zaprzestać używek i zmienić tryb życia, bo ich na to nie stać: zatracili zdrowy pierwiastek: siłę żywotną! Dopiero zapóźno, rękami i nogami chcieliby się bronić, gotowi na wszystko — cóż, kiedy ich własny organizm stał się już sam dla siebie obcą materją: nawozem! Lata całe żyło się złudzeniem, że lekarstwo pomoże, tłumiło się najszacowniejsze objawy niebezpieczeństwa, a gdy już popsuło się wszystko, wtedy: pomoc dajcie mi rodacy! A że łatwo jest uchronić się zawczasu od wszelkiego zła, na mocy prawa Bożego, to prawda święta! Trzeba tylko lepiej oglądnąć Chrystusa, w którego się niby wierzy i w Jego powiedzenia duszą wniknąć: Błogosławieni ubodzy... Rozdaj majętność, a idź za Mną... Co to znaczy? A nie chcesz tego zrozumieć spojrzyj na świat! Ile nędzy i cierpień z powodu... obżarstwa, pijaństwa, nierządu! Masz dziś prądy wyzutych z mózgu i uczuć wykolejeńców, tworzących czemraz groźniejsze zrzeszenia, klnących przeci wBogu, usuwających korzenie wiary i wydrwiwających Boskie miłosierdzie, jakkolwiek jest ono wielkie i prawdziwe! Ale zrozumienia żąda Bóg praw swoich przez ciebie, który chcesz zbawienia! Zwierzę nie ma pretensji żyć po śmierci w królestwie szczęścia wiecznego, a mimoto żyje wedle prawa! A ty? Oszołomiły cię używki, przewrotny tryb życia, wywołałeś te straszne choroby sam i wrzeszczysz. Precz

z Bogiem! Tak, jakby się ciebie bał! Albo jakbyś co najmniej miał słuszność. Ale spróbujno wejść na drogę prawa pewną nogą i z dozą dobrej woli, a zobaczysz, jak odpokutowawszy swoje, prędziutko przestaniesz kląć i zobaczysz inny cel i inny świat!

Od obłożnego niedomagania znacznie gorszem jest obłąkanie przenikające ludzkość, której się zdaje, że wszystko wie i wszystko może i byle pełna kieszeń, to już sprawa załatwiona. Poprzez majątki wiele rozpaczy przenika, więc pieniądz nie daje szczęścia, gdy rabuje zdrowie i za swem pośrednictwem przeciąża organa stale nadmiarem pracy. Więc nie pieniądz usuwa z drogi cierpienia fizyczne, ale właśnie często jest ich przyczyną. Nigdy nie będziesz żałował, żeś jadł za mało — jest prawem za mało cenionym, za mało znanym i za mało uprawianym. A tymczasem zastosowanie go niekiedy, jest samo w sobie szacownym lekiem! Słyszeliście niektórych ludzi, którzy mówią: Mnie jak coś brakuje, to nie idę do doktora, ani do apteki, tylko się przeposzczę, a potem zdrów jestem. Albo inni: Tak, to mi nic nie brakuje, ale niech tylko zjem choćby łyżkę za dużo, już mnie wierci i t. d. Tak mówią ludzie o niezepsutej żywotnej sile. Inaczej ci drudzy: Męczy ich fałszywy apetyt i pochłaniają wielkie ilości jedzenia, gdyż nie czują osłabionego trawienia, a odczuwają tylko niedostateczny brak soków, potrzebnych do zasilenia organizmu. Niema u nich sygnału ostrzegawczego przed nadmiarem, jest tylko jego odwrotna kopja, źle interpretowana. W następnej rozprawce objaśnię, jak się zachowuje organizm względem zaległych materyj, których wydalić nie może. *Ludwik St. Unsing.*

PAWJAN.



Powiadają czasem o niektórych ludziach, że są do małpy podobni, a nawet pewien uczony, nazwiskiem Darwin, twierdził stanowczo, że człowiek pochodzi od małpy. Gdyby to było prawdą, trzebaby zupełnie zaprzeczyć nauce Starego Testamentu, który mówi nam najwyraźniej o stworzeniu pierwszych ludzi w raju. Zresztą wystarczy popatrzyć na małpę, jaką widzimy na naszym obrazku. Jest to pawian, duża małpa afrykańska, o pysku podłużnym, podobnym do psiego. Twarz ma nagą, barwy cielistej, takież odciski pośladkowe, jasno-czerwone, zresztą jest jasno-siwy. Pawjany żyją gromadnie w okolicach skalistych, na drzewa rzadko wyłażą. Żywią się trawą, liśćmi, owocami i owadami. Są złośliwe, zuchwałe i potrafią dzielny opór stawić psom i myśliwym.

Z powrotem.

Zakwitała wiosna. Powietrze lśniło zapachem kwitnących kwiatów i drzew. Gdzie tylko spojrzeć, kwiaty słały oczom pozdrowienie barwą, ukołysane szczęściem żywota i radością kwitnienia. Słońce, niby złocisty król, słało na zieleń, biel i róż, które pokryły tak szybko nagą ziemię — fontanny lśniących promieni. Nie było ciszy, nie było smutku na świecie. Wiosna to czyni, że z nią powraca zawsze radość wszelaka. Cały świat płonął radością i szczęściem dla jednego tylko człowieka we wsi, Macieja, który był zakomnie znajdowało się niewolników w jaskini nanym, najszczęśliwszym z ludzi, bo miłość zawsze odradza człowieka. Dla niego Basia była wiosną, dla nich obojga zakwitała ta wiosna mozaiką barw, dla nich śpiewała mistyczne pieśni miłości i szczęścia.

Pokochali się na wiosnę. Była to miłość prosta i szczera. Poza Basią nie widział nikogo. Inne dziewczęta nie miały jej oczu-fjołków, włosów i tej mowy, która kołysała go umiłowaniem wieczystem. Po ciężkiej pracy na roli, kiedy trochę wypoczął, biegł do jej białej chaty okolonej wieńcem kwitnących grusz i jabłoni. Myśl go do niej niosła na skrzydłach miłości. Serce rwało się w progi jej chaty, gdzie poraz pierwszy ujrzał ją na weselu jej siostry.

Spojrzeli na siebie — i pokochali się wzajemnie. Ten wieczór przedwiosenny, ten taniec w ciżbie ludzi, ta chłodna nocka — zbliżyła ich do siebie i, odtąd stali się swoi, właśni. Zniknęli dla świata, utonęli w własnej miłości, która pochłania ludzi na wieki.

Pamiętał stale ten aksamit ciemnej nocy, który ich zasłonił przed ludzkiem okiem, kiedy po siarczy-

stym oberku wyszli ochłodzić się na pole. Była cisza na świecie, ziemia spała, tylko gwiazdy były świadkami ich tajemnej rozmowy. Dawno słowa Basi rozrastały się w jego duszy we wspomnienia — kwiaty i kwitły wiosną wieków przyszłych.

Długo szli razem w puste pola, w las zadrożny, ciemniejszy jeszcze od nocy, i marzyli o wspólnem szczęściu. Jak ziemia o bujnem lecie, tak oni marzyli o miłości niepojętej.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

W maju, najpiękniejszym miesiącu roku, brał Maciej ślub, wiejski, urodziwy parobczak, z uroczą Baśką. Byłoż to piękne weselisko! Całą wioskę zaprosili na te tęczowe gody, całą wieś, aby dzieliła się ich radością i szczęściem. Przez dwie noce grała muzyka, a chata rozśpiewana trzęsła się od tupania nóg rozochoconych w tańcu gości. Długo pamiętano to wesele, bo nikt nie zakłócił tej uczty bójką, a goście bawili się wesoło.

Pozostali sami. Basia dostała w wianie chatkę i parę morgów pola, Maciej paręset złotych spłatu. Szczęście zaczęło się objawiać im wielkie i dostojne. Jasna przyszłość otwarła się dla nich i brała ich w ramiona mocne.

Kochali się nad życie. Maciej posiadał skarb o którym myślał zawsze. Otrzymał go bez sprzeciwu. Cała sprawa poszła tak gładko, że czasami dziwił się, że potrafił zdobyć to, o co inni walczą całe życie i padają zwyciężeni. Widać, tak się miało stać. Toteż radości swej nie był zdolny wypowiedzieć. Zdawało mu się czasem, że wypełni nią całe serce ukochanej Basi.

Co dnia mówił jej o tem, co chwilę trzepotał nad nią słowami nabrzmiałemi szczęściem i czuł, że nie wypowiedział jej swego szczęścia. Zamknęli się w świecie miłości jak w kuli słońca na wieczność, by świecić nią światu. I świecili.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Basia leżała od tygodnia chora. Kaszlała ciężko. Błękitne oczy świeciły się w gorączce podejrzanie. Nie mogła wstać z łóżka i ugotować Maciejowi na śniadanie żuru. Jakże ją bolało i dobijało! Ile razy podniosła głowę, upadała bez siły na poduszkę. Ile razy spojrzała na pochylonego od bólu smutnego męża, stanęły jej łzy w oczach. Maciej popłakiwał po kątach izby, osłabł już od czuwania nocnego. Nie miał ochoty do pracy. Ręce mu opadły, stracił władanie niemi. I żyć mu się już nie chciało. Byle tylko wyzdrowiała — mawiał zrozpaczony.

Przywiózł z miasta lekarza. Zbadał schudzoną i cierpiącą Basię.

— Co jest panie konsyljarzu?

— Będzie dobrze. Nie trapcie się.

— A co jest mojej?

— Przeziębienie. Przejdzie... Pilnować chorej!

Wsunął lekarzowi parę złotych za wizytę i, odwożąc go do miasta, pytał troskliwie o stan choroby. Nie mógł się od lekarza dowiedzieć istotnej prawdy.

Z każdym dniem było coraz gorzej. Chora mówiła, lecz bardzo słabym głosem. Maciej czuwał nad nią. Nie dopuszczał nikogo z sąsiadów do domu. Pragnął, aby chora miała tylko jego przed oczami.

Gasło wszystko dla niego. Świat stał się inny, zimny, obojętny. Wiosna żyła jeszcze — ale dla niego straciła dawny urok. Śpiew ptaków z ogrodu zdawał się być dla niego krakaniem wron. Wybiegał na pole i odganiał od domu śpiewające ptactwo. Nie mógł nic jeść, ani płakać. Basia wodziła szklanemi oczami po izbie i, gdy przysiadał do jej łóżka, gładziła mu włosy gorącą dłonią. Kaszlała ciężko.

— Ja będę żyć Maciusiu?

— Tak, moja jedyna Basiu!

— Nie smuć się. Bóg da mi zdrowie. Przyjdzie taka sama wiosna...

— Przyjdzie kochanie...

— Ale mnie nie będzie...

— Będziemy...

Odwrócił oczy do okna, dławiły go łzy... w oknie stanęło zachodzące słońce. Było smutne, jak nigdy jeszcze. Za oknem lśniła wiosna — a w domu płonął smutek człowieczy...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Drogą wiodącą do wsi, szedł siwy, zgarbiony dziad, postukujący kosturem, niosący w futerale płóciennym stare skrzypki, na których grał ludziom dalekim, o własnej niedoli i cierpieniu. Szedł zdaleka



do rodzinnej wsi. Nikt go nie mógł poznać, ale on poznawał. Był to dawny Maciej, szczęśliwy Maciej ongiś, dziś siwy starzec, który chciał swe stare kości złożyć obok ukochanej żony. Pamiętał tę drogę i ten piękny bór, kiedy w chłodną noc wyszedł z izby z Basią, która nabawiła się śmiertelnego przeziębienia i umarła. Ujrzał ten sam krzyż, który kazał postawić na pamiątkę uczczenia żony, zanim wyruszył w daleki świat. Przystanął pod krzyżem i zalał się łzami. Krzyż niegdyś nowy, pochylił się ze starości, tak samo jak i on sam. Chrystus na nim wiszący poczerniał od deszczu i wichrów, tabliczkę z nazwiskiem i imieniem żony zdarł ktoś nieznany.

Uczuł się w tej chwili samotny na świecie, jak po stracie Basi.

Upadł na kolana, złożył ręce do modlitwy i płacząc, modlił się. W pustce tej, jak dobrze było mu się wypłakać i rozmawiać z Bogiem!

Po chwili wyciągnął drżącemi rękoma skrzypce z futerału i zaczął grać... Czuł, że nigdy tak pięknie nie grały jego skrzypeczki. Płakały najczystszym bó-

lem człowieczym, jaki tylko może wydać człowiek ze siebie. Serce nie mogło znieść ciężaru bólu, rozsadzał je... Bóg otwarł dla duszy jego podwoje świetliste, kiedy pękło serce, aż wydało ostatni jęk...

To była ostatnia pieśń...

Franciszek Lipiński.



MACIEK BZDURA GADA:

Som ludzie na świecie, ftórzy choć nic nie robią, to cięgiem narzekają, ze ich kości bolą od wielgiego przepracowania. Do takich nalezał Franek Makolągwa, chłop, co sie jesce przed śtyrdziestu laty umnozył i do dziśdnia mu nie wiadomo, ze go Poniezus nie do zabawki, ale do pracy stworzył. Franek uwaza sie za niescęśliwego cłowieka i powiada, ze całe zycie harować musi, a nijakiego odpocnienia ni ma. Rano — powiada — ledwie słonko po niebie kilkadziesiąt kroków ulizie, juz trzeba wstawać, mówić pacierz, jeść śniadanie i ani sie cłek opatrzy, jak dwie godziny casu śmignie. Potem trzeba babe zwymyślać, a casem i powrozem przełoić ,aby sie bardzo nie rozpanosyła i znowu godzine grzysi wzieli.

Mozeby sie zdawało komu, ze sprzeklinanie baby codziennie to zgoła niepotrzebne. A juści! Pofolguj babie ino moment, to ona zaraz nad tobą góre weźnie, ze jak ament w pacirzu juz sie z pod jej władzy na wieki wieków nie wygramolis. A jak ją codzień, trza cy nie trza, porządnie spsiocys i skunierujes, to ci bedzie taka miekuśka, ze mozes ją po chlebie zamiast masła smarować.

— Na takiej robocie — powiada Franek — cas ci zleci do połednia i znowu jedzenie! Po połedniu trzebaby ze dwie godzinki odpocąć, bo przecie cłek nie koń, zeby sie bez odpocynku obesed. A potem trzeba pójść do karcmy po tutoń, z tem i owem o tem i o owem pogadać i ani sie spotrzezes, kiedy wiecór nadejdzie. Bez to cłek ani nie wie w tej ciągłej harówce, kiedy mu łata lecą. Ot śtyrdziestka przysła, cłek sie napracował, zestarzał, a nicego na tem świecie nie uzył. Inksem to tam inacej leci: młodzi są, choćby sie zdawało, ze dłuzej odemnie zyją!

— Bodajta, jak wyście starzy — padam ja Frankowi na to — wam sie ino tak zdaje, a wyście sie prawie co dopiero urodzili i jesceście jakby nie zyli na tem świecie.

— Nie cyganże! — ozwie sie Franek — bo jakzeby to być mogło, kiedy mi nieboska matusia, świeć Panie nad ich dusą grzesną, co łońskiego roku pomarli wyraźnie powiadali, ze mi sie śtyrdziesty rok juz zacął.

— Bogać tam nie prawda! Wszak sami powiedzieliście, ze macie śtyrdzieści roków. A kiedyście sami powiadali, to musi być wierutna prawda, bo inacyjbyście tak nie gadali. Prawda?

— A ono juści! Śtyrdzieści roków bedzie mi na samo Wniebowstąpienie, jak ulał!

— Styrdzieści, nie śtyrdzieści, bo z tych śtyrdziestu, co sie wam widzi, zeście zyli, to sie ino połowa rachuje, to jest dnie, bo w nocy toście spali, a to sie nie rachuje. Więc jak sie od śtyrdziestu odejmie połowe, to zostanie ino dwadzieścia. I te dwadzieścia lat trzeba se ino porachować. Cy nie prawda?

— No niby tak!

— Z tych dwudziestu znowu połowe przespaliście bez połednia, przesiedzieliście w karcmie i przepróżniacyli. Prawda? A połowa z dwudziestu bedzie, jak ulał, dziesięć. Trzeba więc te dziesięć lat odjąć od dwudzestu. Cy moze nie tak?

— A no niby tak! — powiada Franek. — Połowa z dwudziestu to było, jest i będzie do skońcenia świata dziesięć.

— Widzicie więc, ze wam zostaje ino dziesięć lat. Moze nie prawda, powidźcie sami?

— No jesceby nie! Przecie przenajświętsza prawda, to kuzden wie!

— A widzicie! A bez te dziesięć lat toście byli małem chłopakiem, kiedyście to ino zbytki robili, a zadnej sie pracy nie imali. Bez te dziesięć lat za was pracowali i tatuś i mamusia, a wyście ino myśleli o papu i cacy. Prawda?

— A no juści, ze najprawdziwsa prawda!

— Bez to uwazcie sobie dobrze! Dwadzieścia lat odpada na przespane noce, dziesięć lat na poobiedne drzymki i próżnowanie, a dziesięć na chłopięce zbytki, więc i co wam z tych śtyrdziestu lat na prawdziwą robotę pozostało? I latego powiadam wam, ze wyście jesce zyć nie zaceli, a o narobieniu sie, to nima ani mowy. Prawda?

— No niby... E, idź chorobo do jasnego pieruna, bo z tobąby ani święty Jacek do końca nie dosed — wrzasnął rozłoscony Franek, ale odtąd zaprzestał narzykać na wielgaśną pracę. I całkiem słusznie, bo jakby se kuzden człowiek dokumentnie porachował, ile swojego zycia nabezdurno przepróżnował, toby na swoją prace narzykał, boby widział, ze choćby duzo w tem zyciu zrobił, toby jesce nie było tyle, coby mógł zrobić, gdyby ino chciał!

— No niby tak — odpowie mi zapewne niejeden i połozy sie do góry brzuchem, aby reśte zycia przepróżniacyć. Co nie prawda?



Do dziewczęcia.

Tyś cud — tyś wiosna,
Tyś pieśń radosna,
Co się wylewa
Z wód jasnej toni.

Wszystko ci śpiewa,
Przed tobą stroni
I ból i grzech,
A nęci śmiech...

Ach dzwoń, ach dzwoń,
Kryształnym śmiechem
Perełki syp, z duszyczki tchów.

I nieś je echem
I goń je, goń
I chwytaj znów
I dzwoń i dzwoń...

Tyś cud, tyś życie,
Tyś już w błękicie
Anielskich śnień
Serc słu chasz drżeń...

I już cię czeka
Już na cię czyha
Syk i zgrzyt, dola człowieka...

Z kwiatu kielicha
Już się wychyla
Zawrotna chwila.

Genowefa Urbanówna.

LUDWIK ST. UNSING.

(Przedruk wzbroniony).

Getsemane.

Powieść biblijna.

Dymy z piekła, rozsnuwały się jak ściana nieprzejrzysta, z powodu parnego, bezwietrznego dnia, co pozwoliło przejść niespostrzeżenie do celu, nawet gdyby się śledziło. Wynurzyła się ciemna otchłań tajemnego wejścia najeżona schodami wykutemi z kamienia. Człowiek potłuczony szedł przodem, licząc głośno stopnie z powodu ciemności, a Juda wodząc ręką po ścianie wilgotnej, machinalnie szedł za nim. Drogę kończyły wąskie spiżowe drzwi zamknięte na rygiel. Te drzwi po odsunięciu rygla pchnął obandażowany człowiek; otworzyły się bez szelestu. Struga światła padła na ostatnie stopnie podziemnego przejścia i Juda począł mrugać jednem okiem. Znaleźli się w jakiejś małej komnacie, do której światło padało z góry. Na wszystkich czterech ścianach tej komnaty zawieszone były kotary, ukrywające za sobą niewiadomo co, gdyż poprzez materję, rysowały się kontury przedmiotów, niedających się określić. Na środku tej tajemniczej komnaty stał marmurowy stół, a pod kotarami szereg taburetów, zajętych obecnie przez brodate indywidua, w kapłańskich szatach. Jeden z nich, z tabliczką dygnitarza na piersiach, z założonemi w tył rękoma, milcząc, przechadzał się środkiem owej komnaty.

— Świętym kollegjum hosanna! — wyszedł głos z podziemia — poczem wyłoniła się głowa o podgiętej brodzie, a na posadzce zarysował się cień postaci o wygiętych plecach.

Poważny dygnitarz przystanął w oczach pojawiło się zainteresowanie, a równocześnie, zajmujące taburety kapłani zerwali się i otoczyli przybyłych kołem. Gdy człowiek o wygiętych plecach oglądnął się za siebie, tajemniczych drzwi już nie było; przepadły poza falującą jeszcze kotarą. Zrobiło to na nim wrażenie jakoby podstępnego zwabienia w więzienie. Tedy zdeterminowanym wzrokiem powiódł po otaczających go kapłanach, usiłując równocześnie nadać sobie pozór obojętnego. Ten, który miał tabliczkę dostojeństwa na piersiach, spostrzegł tę grę i rzekł:

— Nie bój się bracie, nic złego tutaj spotkać cię nie może. Wiemy, że temi drzwiami wchodzą przyjaciele i jako przyjaciel w domu naszym bądź pozdrowion!

— Jestto w istocie mój przyjaciel — rzekł uroczyście podwiązany człowiek — i wierny sługa Zakonu, jakom rzekł. — Długą wędrówką znużeni, dozwólcie sławetni mężowie, abyśmy spoczęli, zanim sprawa omawianą będzie, abyśmy snać w połowie drogi z upału i upadków różnych nie stanęli.

— Owszem, owszem! — swobodnie zezwolił dygnitarz.

— Tedy i puharek z En-Gaddi, nie byłby pogardzoy — zaśmiał się człowiek z bandażem.

— W samej rzeczy, trudno wam odmówić pokrzepienia, po tak nużącym wysiłku — poważnie przytaknął dygnitarz; — poczem jeden z lewitów podgiąwszy rąbek kotary znikł na chwilę, by znowu zjawić się z amforą napełnioną woniejącym winem. Pierwsze kupki okrążyły w milczeniu. Dygnitarz nalewając drugą kolej, już bystrem spojrzeniem obrzucił człowieka o wygiętych plecach i niby od niechcenia zapytał:

— Tyżeś jest uczniem jego? Tyżeś z obozu trzynastu?

— Jam jest — odparł Juda. Wedle tego przyszedłem z przyjacielem, wszak wiecie?

— Tedy powiadaj, jak rzeczy stoją i kiedy będziem mogli z nim pogadać na rozum?

— Nauczyciel mój bywa niekiedy samotnym, zdala od rzesz i swego obozu; czas ten jest mi wiadomym. Powiem wam, ale tylko wtedy, gdy zapewnicie mnie, iż nic złego mistrzowi memu nie zrobicie, bo zbrodzieniem nie jest.

— Już mógłbyś w to wątpić przyjacielu? — z uśmiechem odrzekł dygnitarz. — Czyliż nie wiesz, że dla dobra jego działamy bez wiedzy rzymskiej władzy? A jakoże nicby ci wiadomem nie było o potędze Sanhedrynu, że tyle żądasz ostrożności?

— Dziwicie się temu sławetni mężowie? Wszak mistrz mój wnosi w ludzkie dusze spokój i radość w nieszczęściu, a wielce litościw jest w cierpieniu! Uzdrawia chorych, a umarłych wskrzesza, jakżebym mógł wydać go w ręce wasze na zgubę i katowi na śmierć?

— Rację masz przyjacielu! Słuszne są obawy twoje — uroczystym głosem zapewniał dygnitarz. — Z naszej strony winieneś mieć zapewnienie, które dajem ci, z ręką na sercu, jako prawdą jest co mówimy.

— Tedy dobrze! Umówioną nagrodę płaćcie! — zawołał człowiek zwany Judą.

— Dobrze, ale naprzód szczegółów dostarcz — uparł się dygnitarz.

— Dostarczę, ale płaćcie! Ani słowa wprzód nie wypowiem; jest moim zwyczajem po zapłacie pracować, tak i wy robicie.

— Jak my robim, o tem mało wiesz! — zachmurzył się dygnitarz z tabliczką. — Ciężkich groszy żądasz, za głupią usługę, przeto godzi się mieć pewność, że prawdą się sprawisz, a nie podstępem.

— Źle myślicie — odparł Juda. — Skorom już w progi tej komnaty wszedł, wszelki podstęp za drzwiami pozostał — zaprawdę!

— Powiedziałeś?

— Jako żywy stoję przed wami i jako Judą mnie zwie nauczyciel. Judą jestem w obozie, synem Szymona i szafarzem mistrza!

— Tak, prawdę mówi! — zamknął kłótnię człowiek z obandażowaną głową.

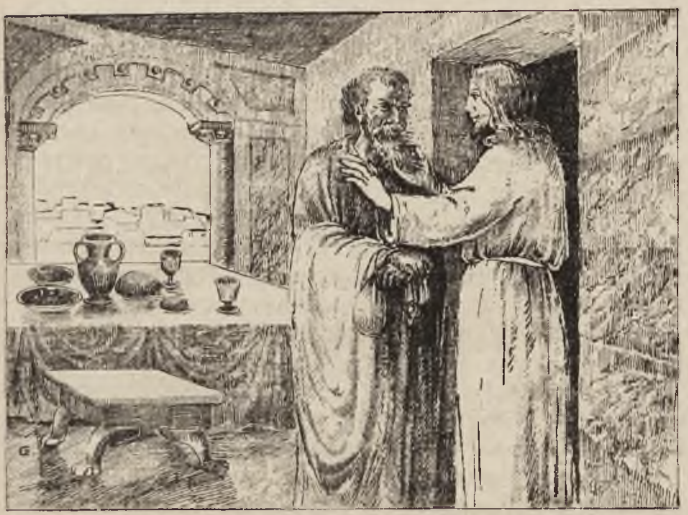
Dygnitarz schylił się ku ziemi i podniósł jakimś sposobem jedną z tafel, którymi wyłożoną była posadzka. Wydobył z dziury worek, brzęczący, a oko Judy błysło, twarz okryła się szkarłatem. Dźwignięto worek z pewnym wysiłkiem na stół, poczem dygnitarz rozsupływać począł węzeł ściągnięty u szyjki. A człowiek o wygiętych plecach przekładał nogę z nogi, łypiąc swem okiem z taką pożądliwością, jak dziki zwierz, gdy dopadnie zdobyczy. Począł drżeć naprzód w sobie, potem i ręce trząść się poczęły, tak, że podany mu podczas rozwiązywania worka kubek z winem, drgał jak osikowe liście. Worek został otwartym: błysły zuzy nowiutkie, ze stemplem imperatora: pożądliwość życia Judy. Z taktyką dobrze rafinowanego psychologa, jął dostojnik, pobrzękiwać powoli w garść nabrawszy monety, czując dobrze, jak ogromne wrażenie brzęk ten wywołuje w jaźni ograniczonego szafarza. Potem, rzucił garść zuz na stół marmurowy, jął odliczać, resztę zaś zgarnąwszy w worek, zawiązał go i schował pod płytę.

Chciał Juda rozłożoną na stole monetę zabrać, ale natrafił na opór dostojnika i obandażowanego człowieka.

— Naprzód mów! — powiedzieli obaj równocześnie.

Aż zachłysnął się Juda, a zgięcie pleców lepiej się uwidoczniło. Jakimś gwałtownym ruchem cofnął rękę ze stołu, utkwiwszy jedno błyszczące oko w okrągłe srebrne sztuki i znieruchomiał. Jakby mu odebrano kochankę, całą rozkosz życia, zdawał się być ogłupiony tym niespodziewanym zwrotem. Szydercze spojrzenie dostojnika śledziło go ukradkiem. Wepchnięto mu drugi kubek z winem w rękę, poczem Juda oprzytomniał.

— Naprzód mów! — powtórzył kapłan — poczem trzydzieści zuz do ciebie należy.



Judo, mój Judo.

— Spotkacie go dziś w nocy w Getsemane — cedził Juda. — Wieczernik przygotowany, a pan pójdzie w gaje sam na modlitwę.

— W Getsemane powiadasz? — z błyskiem świecących oczu zapytał kapłan.

— Tak. W Getsemane. U cedru ,gdzie głaz wygląda z ziemi jak ławka, albo łoże. Tam wylewa mistrz żale duszy i modli się za wrogi.

— A rzesze? Gdzie się podziewają ci, co gromadami za nim chodzą i strzegą jako psy?

— Tych niemasz. Kazał pan iść w pielesze i Paschę spożywać w pokoju.

— Toż dobrze. Tylko chciałbym, abyś nas w ono miejsce zawiódł; szukać po nocy jednego w Getsemane, to jakbyś szukał grosza na wybrzeżu.

— Racja! — odrzekł Juda — godzi się, bym was zawiódł i wskazał, a którego pocałuję, ten ci jest mistrz mój!

— Przysięgaj na torę, jako prawdą jest coś rzekł — podsunął mu kapłan zwój pisma.

Człowiek przygarbiony, położył palce na tym zwoju, pocałował i rzekł: Przysięgam!

— Teraz licz pieniądze; są twoje!

Rzucił się Juda ku stołu, a gdy zliczył i zgarnął w woreczek, kapłanów już w komnacie nie było. Tylko obandażowany człowiek, śmiejąc się pokazał drzwi te same, któremi weszli. Po chwili już byli przy piekle, a następnie na ścieżce, gdzie pożegnawszy się rozstali i Juda biegł w dół ku wąwozom, a człowiek z bandażem zawrócił i znikł w czeluści tajnego wejścia.

Biegnąc, ściskał swój woreczek, ale w duszy począł rodzić się niepokój. Zdawało mu się zrazu, że zieleń straciła barwę żywą i zbladło słońce. Potem, dopadłszy wąwozu, ukrył się w haszczu i wysypał na pole zawartość woreczka. Znowu błysło oko pożądliwie; twarz poczęła przybierać barwy od szkarłatej do ziemistej. Widok pięknie bitych zuz olśniewał go, ale cichutki głos, w głębi duszy wołał: Zdrajco! Sprzedałeś Pana, Baranka niewinnego, Mistrza serdecznego.

— Jakożem sprzedał? — mówił głośno, bawiąc się zuzami, poczem szybko ukrył je z powrotem. Biegł wąwozem potem wpadł na drogę. Już się nie cieszył, a gryzł, nie mogąc stłumić głosu w głębi duszy wołającego, a tak gorzkiego, że aż w ustach smak ten poczuł.

— Jako pokażę się panu na oczy — myślał — zali nie pozna ze mnie iżem zgubił pokój, a wór ciężki naładował zdradą?

Dopadł przekupnia i kupił wiązkę bananów, zarzucił na plecy i biegł do wieczernika.

Zachód się zbliżał, czas było wszystko uszykować, nim nadejdzie pan i jego gromada. Spory gąsior wina jest przygotowany, ot upije się dobrze i ślad zginie z troski — nikt nie pozna co w duszy się dzieje, a pomyślą żem pijan. Byle pierwsze spojrzenie mistrza, byle to wytrzymać, a reszta już pójdzie.

Szybko podążył ze swoim ciężarem, wieczernik był o kilka stajań pola, przebiegł tę drogę bardzo prędko, pochylony niosąc banany. Gdy się wyprostował, chcąc uchylić drzwi wieczernika, nagle zbladł jak ściana: u progu stał Chrystus. Czekał tu swojego zdrajcy, tak smutny jak drzewo płaczące, jak ptaszę wypadłe z gniazda.

Skręcił się Juda w sobie, zawył w duszy.

Chwycił go Mistrz pod brodę, spojrzał głęboko w jedno oko ogarnione wstydem i rozpaczą i spytał drgającym głosem:

— Judo... mój Judo... cóżem ci uczynił?...

VIII.

Tempus fugit...

Wieczernik był salą ponurą. Ciemna draperja zwisała ze środka pułapu i oliwna lampa rzucająca migotliwe cienie na stół nakryty do wieczerzy.

Kręcił się szafarz jak w ukropie, ciągle licząc nakrycie, wykładając miód, praśniki i banany, kubki na wino rozkładając i smakując potrawy. Nieprzyjemne zderzenie się z Chrystusem jakoś minęło i Juda zwolna począł się uspokajać, pracując rzetelnie, by wieczerza wypadła dobrze. Zwolna napełniała się sala osobami i gwarem jakkolwiek wiele drogi dziś zrobiono, połykając kurz drogowy i pot ludzki wdechając.

Wieczerza przed Świętem Paschy pociągała zawsze; z weselem i swobodą spożywano tradycyjnego baranka, który i dziś dopiekał się na rożnie. Zapach pieczonego mięsa, woń z amfory napełnionej winem z Akko i świeże chlebki, rumiane, drażniły mile powonienie, napędzając pracowitej, znużonej gromadce ślinkę, którą połykali raz poraz.

A Juda wciąż się kręcił, ocierając pot z czoła.

Gdy w otworze okiennym wieczernika pierwsza gwiazda przeglądać się zaczęła, wszedł Chrystus. Rozprawiwszy się z Judaszem, poszedł do Betanji, skąd wrócił teraz, mając na sobie hitichin z czerwonej purpury, z narzuconym na ramiona płaszczem równie purpurowym w kolorze lazuru i nowe sandały na nogach żółtego koloru, opięte rzemykami haftowanemi złotem.

To Zara tak ubrała uwielbionego Mistrza.

Szmer podziwu rozległ się po sali; Nazarejczyk wyglądał wspaniale. Zebedeuszowy Jan, głaskał te suknie z rozkoszą, jedwabista, miękka materja, da-

wała palcom wrażenie puchu, lub jakby zrobioną była z płatków edeseńskiej róży. A Chrystus szepnął mu do ucha:

— O te suknie zagrają w kości, a syn człowieczy okryje się purpurą krwi, którą mu wytoczą.

Jan spojrzał w oblicze Nazarejczyka z trwogą, i dopiero teraz zauważył, że było bardzo blade, ale milczał, bo głos uwiądł mu w gardle. Widać było, że Nazarejczyk z trudem tylko znosi gwar; pragnął spokoju, aby utonąć w sobie i zrównoważyć duszę z ciałem, zwalczyć przemożny tłok myśli i uczuć.

Zebereuszowy Jan spostrzegł to natychmiast i nakazał ciszę jakimś nerwowym ruchem ręki. W takim nastroju rozpoczęto wieczerzę. Do tego świątecznego aktu zabrał się Chrystus niezwykle uroczyście, i to wskazywało, że coś się święci poważnego, a smutnego. Przykry półcień panujący w wieczerniku potęgował jeszcze to ponure wrażenie. Myśli Chrystusa były jednak gdzieś daleko, usiłował je zebrać i skupić. Jadł bardzo mało, w przeciwieństwie do tej prostaczej gromadki, która mimo jakiś niepokój objadała się żarłocznie, mocno mlaszcząc.

Jął Juda skwapliwie nalewać wino w kubki; chciał koniecznie ożywić tę ciszę, bo w gwarze czuł większy spokój na duszy i łatwiej mógł uniknąć, bolącego go bardzo spojrzenia Nazarejczyka. Raz po raz, ten ciężący wzrok opierał się o jego oko i świdrował, poprostu wywracał toń tej duszy chciwej, sprawiając zamęt niedający się prędko zrównoważyć. Próżno usiłował wytrzymać to spojrzenie spokojnie, lub przynajmniej obojętnie, choć ukradkiem dużo już wypił mocnego wina z Akko...

Już same okruchy wieczerzy walały się po stole, tylko chlebek Chrystusa i kubek z winem stały nieporuszone. Nazarejczyk powstał i jął zrzucać z siebie godową szatę, poczem przepasawszy się fartuchem kuchty, nalał wody w naczynie i jął zdumionej gromadce umywać nogi i całować.

— Przykład wam z siebie daję, jako, że być należy pokornego serca. Czyńcie i wy tak maluczkim, abyście sobie tem bramę niebios naoścież otwarli.

Głos był rzewny i głęboki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Katastrofa.

Z ciemnego nieboskłonu spoglądały rozszerzonemi źrenicami w głębię ścielącej się po ziemi nocy, rozmigotane gwiazdy.

Poprzez wijące się w pogmatwanych linjach żelazne szyny, mknął z hukiem i trzaskiem rozdygotany w szalonym biegu, kurjerski pociąg.

W przedziałach świeciły się lampki, pozaciągane tu i owdzie sinemi osłonkami — przyćmione światło spływało leniwie od góry, monotonny stuk pociągu kołysał i usypiał znużonych nocą podróżnych.

Powtulani w kąciki przedziałów, lub leżąc na ławkach, spali snem spokojnym jadący, zdani na łaskę i niełaskę jedynego człowieka, który ukryty kędyś w czarnej paszczy gwiżdżącej maszyny kierował całym tym długim wężem poszczepianych wagonów, mieszczących w sobie setki ludzkich istnień... dążeń... nadziei... kombinacji... i marzeń.

Noc była posępna i mglista — po czarnych polach wlokły się jesienne tumany rozpylanej mgły, tworząc fantastyczne widma... w które wściekle uderzał jadący pociąg, a rozbiwszy je, na drobne atomy mknął w nowe zwoje splecionych nocnych mgieł, co rozbite na chwilę żelazną siłą, łączyły się znowu z sobą i długiemi trenami wlokły się po szynach poza mknącym w dal pociągiem...

A pociąg mknął — gonił mgły, i uciekał od roztrąconych tumanów, sypiąc z pieca rzęsistym deszczem przezłocistych iskier.

Unoszące się w górę skry tworzyły nowe fantazje najcudniejszej nocnej bajki...

Chwilami obsypywały pociąg rzęsiście, i uderzały w nocną ciemność jaskrawymi wężami piorunowych strzał... chwilami, niby purpurowe płaty rozwianej róży, unosiły się ponad czarną przestrzenią pól, i cicho opadały na przyziemne uwiędłe trawy, a migocząc przez chwilę jaskrawą czerwienią, dogasały sennie w wilgotnych mgłach...

Wówczas, rozsnuwał się wokoło przepastny mrok, a okna wagonów spoglądały w tą czerń nocy, niby oczy niewidomego. Aż znowu rozświetlał się rozigrany iskrzący się słup... Drobniutkie muszki iskierek odrywały się od jaskrawego słupa i podobne świętojańskim świetlikom zasypywały całymi rojami mknący pociąg, osiadały na jego czarnym grzbiecie, lub tańcząc wokoło w szaleństwie nieuchwytnych błysków, czepiały się gałęzi iglastych drzew, stroiły uschłe przydrożne łodygi, złocistą swą jasnotą, tworząc naokół jaskrawe morze rozmigotanych świetlików.

A pociąg uchodził wciąż dalej i dalej... Pęd jego stawał się coraz szybszym, silniejszym, niepochamowanym. Dygotały w nim wszystkie rozkołysane żelazne tętna... biło ukrytą siłą potężne serce olbrzyma... srożyła się w nim jakaś zbuntowana moc...

Roztrącał teraz nocne widma z taką siłą, iż gasły bez oporu, pokonane, i rozciągnione konały śladem mknącego potwora.

Noc się stawała coraz czarniejsza, pełna grozy i nieokreślonego lęku...

W przedziałach spali cicho ukołysani ludzie... a w czarnej rozdygotanej paszczy pędzącej maszyny siedział ukryty człowiek i osmolonemi rękoma kierował życiem — żelaznego olbrzyma...

A olbrzym stawał się coraz silniejszym... Niosły go czarne niewidzialne skrzydła, łomocąc ponad nim złowrogim szelestem zbliżającej się katastrofy.

Niedaleko tuż, tuż... roztwierała się głęboka przepaść.

Rozszerzone rozpaczną trwogą oczy kierowcy zatonęły przez jedno mgnienie w roztwierającej się przepaści — ręce z konwulsyjną mocą ścisnęły hamulec...

Żelazny olbrzym zaśmiał się przeraźliwym gwiżdżącym śmiechem szyderstwa i z piekielnym łoskotem runął w czarną otchłań przepaści.

Na ciemnym nieboskłonie spojrzały ku sobie strwożone gwiazdy a przerażone okropnym tragizmem zdruzgotanego olbrzyma cofnęły się w błękit, i gasły, gasły jedna po drugiej, niby ludzkie istnienia kończące się kędyś na dnie czarnej przepaści.

Kachna Ł. Łza.

Myśli.

Kto ma długie palce, ten — w najlepszej wierze —
Kogo tylko widzi za złodzieja bierze.

Na nic podniosłe o cnocie wykłady:
Jeśli nie poprą słów — mowców przykłady.

Bywają w życiu naszem różne chwile, fazy:
To radością tchnące — to bolem brzemienne.
Los drwi z nas często; za dnia tyle krzywdzi razy
I szczęściem nas łudzi: krótkotrwałem, zmiennem.

Albatros.



Poradnik gospodarczy.

Pan Minister skarbu zapowiedział wniesienie czterech projektów podatkowych. Wszystkie one dotkną rolników, więc znać je trzeba.

1. Podatek gruntowy obecnie jest tak ułożony, że mniejsi rolnicy mają zniżkę (czyli degresję), a więksi płacą stosunkowo więcej (czyli progresję). Na pieniądze wygląda to tak, że jeśli rolnik pięciomorgowy płaci z morga naprzykład po 2 zł., to rolnik dwudziestomorgowy płaci z morga po 4 zł., a rolnik na folwarku płaci z morga po 8 zł. Projekt obecny ma te różnice znieść; wielki, średni czy mały rolnik ma z morga płacić równo, a więc po zniesieniu zniżek (degresji) pozostaje (średnia stawka podatku), a więc na naszym przykładzie po 4 zł. od morga. Rząd uznał, że obecnie średnie stawki podatku gruntowego są za niskie, więc zamierza je podnieść.

2. Podatek od budynków znany był dawniej w b. zaborze austrjackim, a i gdzieindziej potem został połączony z podatkiem gruntowym, a jako osobny podatek ogólny przestał istnieć. Tylko domy czynszowe, po miastach głównie, opłacają różne podatki. Obecnie ma wrócić znowu podatek od budynków.

3. Podatek majątkowy wyrównawczy proponuje rząd. Podatek ten płacić ma każdy, kto ma majątek wartości 3.000 zł. Obecnie mówi się o tem, że dopiero ten, co ma majątek wartości najmniej 6.000 zł. będzie płacił ten nowy podatek. A więc, jeśli ktoś ma chałupę i parę morgów, to szacunek wykaże, czy to warte mniej czy więcej, niż 6.000 zł. Z podatku tego chce mieć rząd około 100 miljonów zł. rocznie. Równocześnie proponuje rząd zmianę ustawy o podatku majątkowym jednorazowym.

4. Podatek dochodowy w Polsce już jest i daje rządowi bardzo znaczne wpływy. W tym roku rząd liczy, że mu da: podatek dochodowy 180 milj. zł., a podatek gruntowy najmniej 60 milj. zł. Ten podatek dochodowy chce obecnie rząd zmienić, a to w ten sposób, aby każdy, kto ma jakikolwiek dochód, do płacenia tego podatku był pociągany. Na razie nie płacą tego podatku mniejsi rolnicy, oraz niekwalifikowani robotnicy. Obecnie większość ich ma być do płacenia powołana.

Te podwyżki podatków wyżej wymienionych mają dać rządowi razem ponad 200 milj. zł. rocznie więcej, niż dotąd.

Dwa podatki mają dać zniżkę: podatek majątkowy i podatek obrotowo-przemysłowy. Jakie będą te zniżki — to jeszcze niewiadomo dość dokładnie.

Wedle budżetu na r. 1927-28 miał rząd ściągnąć z obywateli 1.990 milj. zł., a ściągnął 2.737 milj. zł. Pan Minister skarbu jest bardzo z tego wyniku zadowolony, ale niemniej powiada, że i te nowe podatki są mu koniecznie potrzebne.

Oczekujemy wyniku narad Sejmu.

Poradnik lekarski.

Wpływ owoców na zęby. Spożywanie owoców przyczynia się do należytego utrzymania zębów. Wszyscy prawie przyrodnicy donoszą, że ludzie południowi nie chorują na ból zębów lub bardzo rzadko. I to jest zrozumiałe, gyż właśnie ludy południowe spożywają dużo owoców i jarzyn. Kwas owocowy przyczynia się bowiem do zniszczenia grzybków gnilnych i rozpuszcza pierwsze zaczątki „kamienia" zębowego, który może doprowadzić do poważnych chorób. Kwas owocowy jest dla „glazury" zębów nieszkodliwy, zawarte w owocach sole pokarmowe są bardzo ważne dla budowy zębów. Najlepiej jeść jabłka przed udaniem się na spoczynek.

Odleżenie ciała. Odleżenie ciała, nawet gangrenowe odumarcie skóry na miejscach, wystawionych na trwały nacisk, powstaje wskutek niedostatecznego zaopatrywania ciała w krew, także i przez zniesiony wpływ nerwów na uciskane miejsca, jak również przez ogólny wadliwy ustrój krwi. Odleżenie ciała powstaje najłatwiej na miejscach, gdzie kości leżą tuż pod skórą. Wrzody, powstałe przez odleżenie, rozciągnąć się mogą aż na kości. — Leczenie: Zmiana położenia bolącej części ciała; mycie tejże świeżą wodą z małą domieszką soku cytrynowego (jedną łyżkę soku tego na litr wody). Napędzlowanie ciała bolącego wywarem z pestek figowych. Jeżeli na skórze ukazują się czerwone miejsca, to kładzie się poduszkę gumową napełnioną powietrzem lub wodą, lub zwinięte prześcieradło płócienne, aby odnośne miejsca leżały swobodnie, bez nacisku.

Środki upiększające ciało. Dążenie, by osiągnąć piękność ciała i takową utrzymać, jest wewnętrznym przymiotem człowieka, wyłaniającym się z życzenia, aby otoczeniu ukazać się ile możności najkorzystniej. Lecz pielęgnowanie piękności łączy się istotnie z pielęgnowaniem zdrowia, nietylko w stosunku do wszystkich warunków życiowych, lecz także i co do odżywiania i trawienia, wogóle co do całego cielesnego i duchowego powodzenia. Mało niestety jest takich, którzy potrafią ową prawdę przeniknąć i pojąć. Największa część ludzi sądzi, że przez rozmaite małe środki może coś osiągnąć. Wśród takich okoliczności napotyka się na tej dziedzinie niezmiernie wiele uchybień i zastosowanie najdziwaczniejszych, nieraz wprost zgubnych środków. Można być pewnym, że wcześnie zrujnuje się cerę i włosy przez używanie okowity, ołowiu, arszeniku, rtęci i t. p., które to substancje znajdują się przeważnie w środkach upiększających.

Wilcza jagoda czyli wiśnia. Roślina ta zawiera w swych liściach, szczególnie zaś w małych jagodach podobnych do wiśni, jednę z najniebezpieczniejszych trucizn — atropinę. Najczęściej dzieci padają ofiarą tegoż zatrucia.

KRONIKA.

Przepowiednie na maj. Referent astronomiczny „Il. Kurjera Codz.“ p. F. Prengel z Bydgoszczy podaje prognozę pogody na maj. Ponieważ niektóre z jego poprzednich przepowiedni sprawdziły się, podajemy więc jego przewidywania na maj. A więc pod względem temperatury miesiąc maj będzie przeciętnie ciepły, przyczem zaznaczyć trzeba, że większe ocieplenie nastąpi w pierwszej połowie miesiąca przy pogodzie przeważnie słonecznej. Przejściowe ochłodzenia oczekiwane są około 10, 19 i 25 maja. W ciągu pierwszej dekady miesiąca można się spodziewać na terenie Polski lokalnych nocnych przymrozków, (jest to niewątpliwie w związku z wiatrem wschodnim, który w tym roku wieje u nas dość często). Opady przewidywane, są jak na maj, dość skąpe.

Wyklęcie posła Putka. W niedzielę 29 kwietnia b. r. odczytano w kościołach list księcia arcybiskupa krakowskiego ks. Sapiehy, orzekający interdykt na p. Putka (Wyzwolenie) posła na sejm z okręgu wadowickiego. Interdykt czyli po polsku zakaz zabrania posłowi Putkowi wstępu do kościoła, korzystania z św. Sakramentów, ze Mszy św. i udziału w aktach prawnych kościelnych i odmawiający mu pogrzebu chrześcijańskiego, o ile przedtem nie okaże skruchy i nie pojedna się z Kościołem. Jak widzimy, interdykt jest bardzo wielką karą kościelną, a spotkała ona posła Putka za to, że dopuścił on się wielokrotnie przestępstw przeciwko prawom Kościoła katolickiego, a ostatnim z nich było włamanie do kościoła parafjalnego w Choczni podczas zawieszenia dzwonu, konsekrowanego przez księcia metropolitę. Surowa ta kara, wymierzona w pierwszym rzędzie w posła Putka, dotknie boleśnie i tych wszystkich, którzy obdarzali go zaufaniem, głosując nań czy to na wójta, czy na posła do sejmu. A tych ostatnich było przecież kilkanaście tysięcy ludzi.

Wypadek w salinach wielickich. W ubiegłym tygodniu w salinach wielickich w szybie Rudolfa zdarzył się straszny wypadek, który na pracujących tam górników wywarł wstrząsające wrażenie. Oto w pewnym momencie, gdy 55-letni Stanisław Matajewicz, górnik, zajęty był wydobywaniem soli — spadła nagle na niego duża belka, przygniatając go swym ciężarem. Skutkiem silnego uderzenia Matajewicz stracił przytomność, doznając ciężkich ran na głowie, oraz złamania podstawy czaszki. Zarząd kopalni odniósł się telefonicznie o pomoc do krakowskiego Towarzystwa ratunkowego, które natychmiast po otrzymaniu wiadomości wyjechało do Wieliczki, gdzie udzieliło nieszczęśliwemu górnikowi pierwszej pomocy, poczem w bardzo ciężkim stanie przewiozło go do szpitala w Krakowie.

Śmierć o 10 złotych. W Kielcach dokonano zabójstwa na niezwykłem podłożu. Mianowicie niejaki Franciszek Kwaśniewski, wieśniak z powiatu olkuskiego, podczas sprzeczki ugodził scyzorykiem w pierś niejakiego Józefa Łącznego, który wskutek otrzymanej rany w parę minut zmarł. Do sprzeczki i zabójstwa doszło na tle żądania Kwaśniewskiego, by Łączny zwrócił mu dług w kwocie 10 zł., na co ten nie chciał się zgodzić. Zabójcę aresztowano.

Krwawy 1 maja. Jak wiadomo, socjaliści obchodzą w dniu 1 maja swoje święto partyjne. W dniu tym urządzają pochody, wygłaszają mowy, słowem prowadzą agitację na rzecz swego stronnictwa. Za czasów zaborczych socjaliści zabraniali w dniu tym pracować chrześcijańskim robotnikom, wskutek czego przechodziło tu i ówdzie do starć pomiędzy świętującymi, a chętnymi do pracy. Rządy zaborcze występowały bardzo ostro przeciw socjalistom, obecnie rząd polski nie przeszkadza tym uroczystościom, gdyż odbywają się one spokojnie, a socjaliści nie zmuszają chcących pracować do świętowania. Natomiast komuniści wykorzystują uroczystości socjalistyczne do wrogich wystąpień nietylko przeciw socjalistom, ale nawet przeciw państwu polskiemu. Doprowadziło to w dniu 1 maja b. r. do przelewu krwi na ulicach Warszawy. Oto gdy formował się pochód socjalistyczny, przybyła tam grupa komunistów i napadła na socjalistów. Pierwszy dał strzał do zgromadzonych tłumów poseł komunistyczny Warski. Warszawski (ładny poseł), poczem posypały się dalsze strzały, których ofiarą padło 8 ludzi zaś 236 osób odniosło rany, w tem 41 ciężkie. Wkroczyła policja, która rozszalałych komunistów rozpędziła, aresztując przytem kilku ich przywódców. I zapytać należy, czemu ci wszyscy komuniści nie idą do Rosji, gdzie mieliby rządy komunistyczne, ale w Polsce, która ich żywi, wszczynają krwawe awantury.

Śmierć złodzieja na dachu wagonu. Dworzec kolejowy w Jarosławiu był widownią krew w żyłach ścinającej sceny. Oto podczas postoju pociągu osobowego zdążającego z Krakowa do Lwowa, pasażerowie jednego z wozów kolejowych zauważyli ściekającą z dachu krew, o czem bezzwłocznie zawiadomili personal kolejowy i pełniącego służbę posterunkowego. Ustalono, że na dachu znajduje się trup z roztrzaskaną czaszką.



Pełniący służbę posterunkowy rozpoznał w trupie niebezpiecznego kolejowego złodzieja kieszonkowego, Władysława Koperskiego, lat 22, kilkakrotnie karanego za zbrodnie kradzieży. Przeprowadzone dochodzenia wykazały, że Koperski, jadąc „na gapę“ z Przeworska do Jarosławia, niepostrzeżenie dostał się na dach wagonu, a przejeżdżając pod most tuż przed Jarosławiem, uderzył głową o żelazny łuk mostu tak silnie, że górna część czaszki została oderwana, a mózg w zupełności wypłynął. Przy rewizji zwłok znaleziono zwolnienie z więzienia sądu okręgowego w Rzeszowie.

Zamach na dyplomatę sowieckiego. W ubiegły piątek dokonano w Warszawie zamachu na attaché handlowego poselstwa sowieckiego. Gdy samochód, w którym jechał attaché handlowy Lizarew w towarzystwie dwu sekretarzy Jakonowa i Makarenki, z ulicy Wilczej skręcał na ul Marszałkowską, padły dwa strzały. Jeden strzał chybił, drugi strzał rozbił szybę, której odłamki raniły lekko w przedramię attache Lizarewa, oraz lekko zadrasnęły sekretarza Jakowowa. Makarenko wyszedł cało. Przy trzecim strzale rewolwer zaciął się. Sprawca zaczął uciekać ulicą Marszałkowską. Szofer zatrzymał samochód i pobiegł za uciekającym, a wraz z nim policjant i publiczność. W jednej z bram przy ul. Marszałkowskiej, w której sprawca się ukrył, został aresztowany przez funkcjonarjusza policji politycznej. Strzelającym okazał się poddany polski Jerzy Wojciechowski,

liczący lat 23. Aresztowany podał w śledztwie, że bolszewicy zamordowali mu ojca i wymordowali rodzinę, chciał się więc zemścić na ich przedstawicielu.

Król Afganistanu w Warszawie. W ubiegłym tygodniu bawił w Warszawie król Afganistanu Amanullah wraz z swoją małżonką. Obydwoje królestwo byli przez nasz rząd przyjmowani bardzo serdecznie. Goście wyjechali z Warszawy do Rosji.

Olbrzymia kradzież. Z Warszawy donoszą: Korzystając z dnia świątecznego oraz udania się całej prawie ludności miasta Warszawy na powitanie króla Afganów niewykryci dotychczas sprawcy dokonali w ciągu ubiegłej niedzieli podkopu pod sklep jubilerski Jakóba Tyzenpowa, mieszczący się w domu przy ulicy Elektoralnej 1 i skradli całą biżuterję tam się znajdującą na sumę 500.000 zł.

Wykrycie szajki handlarzy żywym towarem. Policji stanisławowskiej udało się zlikwidować groźną szajkę handlarzy żywym towarem, którą tworzyli: Zelman Weksler, Mendel Rosenberg, Markus Diamand. Stwierdzono, że zawierali oni znajomość z młodemi i przystojnemi kobietami i nakłaniali je do porzucenia rodzin. Mając w Stanisławowie fikcyjny sklep towarów bławatnych, prowadzili tam agenturę zagranicznych domów rozpusty i ściągali naiwne ofiary ze wszystkich miast Małopolski. Toteż w czasie rewizji znaleziono tajne adresy we wszystkich prawie miastach świata, wielką korespondencję, mnóstwo fotografij kobiet. Nadto wyszło na jaw, że ostatnio handlarze ci sprzedali z Polski pięć kobiet w mieście Satmar w Rumunji za cenę po 4 do 5 tysięcy franków szwajcarskich. Wymienieni robili na tem majątek, a będąc agenturą tajną światowych handlarzy, bez trudu oddawali towar w inne ręce. Po zbadaniu sprawy wszystkich natychmiast aresztowano i oddano do sądu karnego w Stanisławowie.

Śmierć od szrapnela. Wojna światowa, która pochłonęła całe hekatomby ofiar ludzkich, jakkolwiek przeszła już do historji, to jednak pozostałości materjałów wybuchowych zbierają dalej swe okrutne żniwo śmierci. Na polach gminy Surochów, tuż pod Jarosławiem trzej chłopcy, a to Piotr Borys, 12-letni Hryć Kunia i 13-letni Oleksy Harysz dnia 26 b. m. wydobywali stare żelazo z wojny światowej, zakopane w ziemi. Jeden z nich, a mianowicie Borys Piotr znalazł cztery szrapnele, z których jeden rozebrał, drugi zaś, który rzucił na ziemię eksplodował — raniąc go śmiertelnie. Nieszczęśliwa matka, przybywszy na miejsce czynu furą, nie mogła go już do szpitala dowieźć, gdyż w drodze do domu zmarł. O wypadku zawiadomiono komendę placu w Jarosławiu.

Żarty powodem śmierci. Czasem napozór niewinny żart może pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki. Przykładem tego tragiczne zdarzenie, jakie miało miejsce w Bydgoszczy: Oto służąca państwa P., zamieszkałych przy ul. Matejki z żartu rzucała na drzemiącego pod domem dozorcę odpadkami. Rozdrażniony dozorca udał się do państwa P. i w ostry sposób złajał służącą i obelżywie zwrócił się do państwa P. Państwo P. zawezwali policjanta, który chciał dozorcę Kobylewskiego aresztować. Kobylewski wspomagany przez żonę, stawił opór, nie chcąc się dać za błahostkę odprowadzić do komisarjatu. Policjant dobył szabli, aby ciąć Kobylewskiego, ten jednak zręcznym ruchem wytrącił policjantowi szablę. Wówczas ten, dobywszy rewolweru, celnym strzałem położył Kobylewskiego trupem na miejscu. W sprawie tej toczy się energiczne śledztwo policyjno-sądowe.

Pożar miasteczka Opsy. Z Wilna donoszą: Szczegóły pożaru w miasteczku Opsy nadeszły do Wilna, mówią o wielkich stratach, jakie ludność tamtejsza poniosła, które sięgają miljona złotych. W czasie tłumienia pożaru w płomieniach zginęło dziecko i poparzonych zostało kilkanaście osób. K. O. P. udzielił bezdomnym namiotów i w dalszym ciągu żywi ludność z kuchni polowych. Władze administracyjne udały się na miejsce pożaru, celem zarządzenia pomocy dla pogorzelców.

Aresztowanie Beli Kuhna. W zeszłym tygodniu aresztowano w Wiedniu Belę Kuhna, który to przed kilku laty zaprowadził na Węgrzech rządy komunistyczne i sam stanął na ich czele. Napędzono go wkrótce, ale przez ten czas rozwinął taki terror na Węgrzech, że wskutek niego wielu obywateli węgierskich poniosło śmierć niewinną. Obecnie przybył do Wiednia z zamiarem przygotowania tam rewolucji na 1 maja. Zamiar ten jednak nie udał mu się, gdyż przedtem aresztowano go i osadzono w więzieniu, z którego prawdopodobnie prędko nie wyjdzie, będąc uważanym za bardzo niebezpiecznego.

Wybory we Francji. W niedzielę dnia 22 i 29 kwietnia odbyły się w całej Francji wybory do tamtejszego parlamentu. W wyborach tych rząd Poincarego odniósł olbrzymi sukces, gdyż stronnictwa rządowe zyskały przeszło 60 nowych mandatów, które straciły stronnictwa opozycyjne. Największą porażkę stosunkowo ponieśli komuniści, którzy w poprzednim parlamencie mieli 24 posłów, a obecnie będą ich mieć tylko 16 posłów.

Mnich bandytą. Michał Stefan Epure był znany jako bardzo nabożny i bogobojny mnich. Toteż gdy szedł w bronzowym habicie przez rynek miasteczka Neamtu (Rumunja), położonym nad Seretem, kobiety i dziewczęta podbiegały doń i całowały jego ręce. Nikt nie przypuszczał, że te ręce z równą znajomością rzeczy obchodziły się z rewolwerem jak z różańcem. A jednak ten Epure w ciągu piętnastu lat grał podwójną grę, w dzień był mnichem, a w nocy hersztem bandy. Koledzy przezywali go Habukiem. Bała się go cała prowincja. Rumuńscy żandarmi ścigali go daremnie w lasach nad Seretem i w błotach przy ujściu Dunaju. Od czasu do czasu w trzech jednocześnie miejscach Rumunji ukazywała się banda Habuka, a każdy był przekonany, że widział herszta, który siedział na koniu, maskę miał na twarzy, a w ręku trzymał rewolwer. W tych dniach udało się aresztować Epure i dwu jego towarzyszów. Tajemnica wyszła na jaw. Okazało się, że Habuk — to była nazwa zbiorowa dla całej bandy, która operowała pod wodzą mnicha z Neamtu. Epure sam wszystkim kierował niepostrzeżenie, a nikomu na myśl nawet nie przyszło szukać herszta w klasztorze prawosławnym, chociaż w tym samym klasztorze miał przytułek nietylko sam herszt, lecz i dwaj najlepsi pomocnicy. W klasztorze był on jednym z najgorliwszych i najbardziej bogobojnych mnichów. A że był nadzwyczaj sympatyczny i udawał pobożnego, więc miał duży wpływ na otoczenie, szczególnie zaś na przybywające na targi kobiety. Najszaleńszym jego czynem był napad rabunkowy, dokonany w pobliżu Tempesti przed dwoma laty. Z czterema towarzyszami w maskach napadł on na czterdzieści wozów i wszystkie obrabował doszczętnie. Był to dzień jarmarku w Tempesti, skąd wozy wracały. W liczbie obrabowanych byli agenci policyjni, urzędnik podatkowy, a nawet dowódca miejscowej żandarmerji. Sam herszt był przedtem na jarmarku w ubiorze mnicha, śpiewając miłym barytonem pieśni nabożne, zaglądał jednocześnie do torb i kieszeni, śledząc, co też kto na jarmarku zarobił i gdzie chowa pieniądze. Zgubił go własny jego głos. Niedawno zamordo-

wał kupca z pobliskiej miejscowości Lespez wracającego wieczorem do domu.



Zamaskowany mnich Epure, spodziewając się znacznej gotówki u owego kupca, wdał się w krótką rozmowę, poczem niespodziewanie uderzył go tak silnie narzędziem podobnem do boksera, że kupiec padł na ziemię. Wkrótce jednak mnicha wyśledzono — zdradził go jego głos. Zakutego odprowadzono do Jass, a zagadka, która dręczyła od kilku lat całą ludność między Seretem a Dunajem, została nareszcie wyjaśniona.

Odszkodowanie po śmierci. W jednym z sądów londyńskich rozpatrzony został niezmiernie ciekawy proces o odszkodowanie za wiarołomstwo. Wytoczony on został przez zdradzonego męża, którym jest fabrykant Edward Traprey, pułkownikowi Percy. W lecie ubiegłego roku zmarła nagle na anewryzm serca małżonka mr. Traprey'a pogrążając go w nieutulonym żalu. Daremnie zrozpaczony wdowiec szukał ukojenia po tej bolesnej stracie w podróżach po świecie; nawet wesoły Paryż z jego nocnemi szaleństwami nie potrafił mu dać zapomnienia. Wkońcu niepocieszony wdowiec powrócił do Londynu. Ulubionem miejscem rozmyślań o ukochanej żonie, był jej pokój, w którym od dnia jej śmierci nie zostało nic poruszone, stosownie do specjalnego w tej mierze rozkazu, wydanego służbie przez p. Traprey'a. I oto razu pewnego osierocony małżonek, spoczywający w hotelu naprzeciw portretu swej nieboszczki, dostrzegł na jej biurku bibułę do osuszania atramentu, na której odciśnięty był jakiś adres. Zaciekawiony mąż obejrzał bibułę w lustrze i okazało się, że zawierała ona odcisk nazwiska pułkownika Percy. Pułkownik był znajomym mr. Traprey'a, ale o ile p. Traprey'owi było wiadomo, nieboszczka nie znała go zupełnie. Toteż szczegół ten zaintrygował go do tego stopnia, że otworzył on biurko żony i znalazł tam cały stos listów pułkownika do swej zmarłej małżonki, których jasna treść zupełnie dostatecznie oświetlała wzajemny stosunek zmarłej pani Traprey do żyjącego pułkownika Percy. Wdowiec wystąpił przeciw cudzołożnikowi o odszkodowanie w sumie 5.000 funtów szterlingów za zbałamucenie mu żony. Sprawa ta rozpatrywana była w sądzie i adwokat pułkownika dowodził, że nie może być mowy o odszkodowaniu za cudzołóstwo, ujawnione po śmierci żony.

— A jeżeli komuś spali się magazyn i dowie się on o tem po kilku latach, czy również pretensje jego do towarzystwa ubezpieczeń będą bezpodstawne? — odparł na to adwokat niepocieszonego wdowca i sprawę wygrał. Sąd uznał tylko żądania mr. Traprey'a za zbyt wygórowane i przysądził mu 1.000 funtów szterlingów.

Nowy rodzaj sportu. W tym sezonie ujrzą Londyńczycy nowy rodzaj wyścigów, tak zwany „Kerappau". W zawodach tych wezmą udział woły, sprowadzone z holenderskich Indyj, gdzie tego rodzaju wyścigi należą do najbardziej ulubionych sportów i powodują tak wielkie podniecenie temperamentów, iż często przychodzi do krwawych bójek między hodowcami. W wyścigach biorą udział tylko najbardziej rasowe zwierzęta. Na tę uroczystość złocą im rogi i malują sierść w różne kolory. Zaprzągnięte do małych saneczek biegną woły z nieprawdopodobną szybkością do mety, a tak są zapamiętałe w biegu, iż często nie dają się wstrzymać u mety, lecz wpadają między ludzi i, stratowawszy kilka osób, mkną dalej, aż padną na ziemię z wyczerpania. Na dłuższą metę mogą indyjskie woły rywalizować w szybkości z najszlachetniejszymi końmi wyścigowemi. Wśród angielskich koniarzy panuje żywe zainteresowanie tym nowym sportem. Wyścigi wołów odbędą się prawdopodobnie w pierwszych dniach czerwca. Ot, męczą ludzie zwierzęta, aby się tylko zabawić.

Nawodnienie Sahary. Na kongresie „wodnym", który odbył się niedawno w Algierze, inżynier belgijski Knapen w bardzo zajmującym referacie przedstawił projekt dostarczania wody z powietrza, na obszarach pustynnych Sahary. Pomysł Knapena polega na rozumowaniu następującem: ponieważ można za pomocą środków fizycznych, stosując np. różnicę temperatury, wyciągnąć wodę, nasycającą budynki, Knapen jest w tej dziedzinie specjalistą, osuszył bowiem pożerany przez wilgoć pałac wersalski, muzeum Louvru i liczne kościoły i oddał ją drogą parowania atmosferze, można także odwrócić ten proces i wilgoć z powietrza sprowadzić na ziemię. Zadaniem więc, które postawił Knapen jest: zgęszczenie zawartej w powietrzu pary wodnej, skroplenie jej i przechowanie w cysternach, zabezpieczających od parowania. Cysterny te, prawdziwe „studnie powietrzne", według zdania autora można umieścić w dowolnem miejscu. Pomysł inżyniera Knapena oparty jest na racjonalnych zasadach, skoro wspomniany wyżej „kongres wodny" wyznaczył specjalną komisję, która ma poczynić odpowiednie próby i zbadać możliwość wyzyskania go w praktyce. Gra warta stawki. Chodzi bowiem o uprzystępnienie dla ludzkości olbrzymich obszarów pustynnych Sahary, zamkniętych dotychczas dla cywilizacji właśnie z braku wody.

Bogaty żebrak. Daniel Sugrune, obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej przeżył 70 lat, utrzymując się z żebraniny. Przed kilkoma dniami aresztowała go na jednej ze stacyj kolei podziemnej policja nowojorska za włóczęgostwo i niedozwolone noclegi na dworcach kolejowych. Przesłuchiwany następnie przez sędziego, Daniel Sugrune przyznał się, że posiada kapitalik w sumie 25.000 dolarów, złożony w różnych bankach. Mógłby sobie więc pozwolić na wygodniejsze życie i zasłużony odpoczynek po ciężkiej, wyczerpującej i długoletniej pracy zawodowego żebraka, gdyby nie zupełny brak zaufania do ewentualnych sąsiadów i obawy, żeby go nie okradli. Woli więc nocować tam, gdzie go nikt nie posądzi o posiadanie większych kapitałów. Sędzia radził bogatemu żebrakowi, aby nie żałował grosza na większe wygody i usiłował go przekonać, że na drugim świecie książeczki bankowe nie posiadają żadnej wartości. Sugrune nie usłuchał jednak dobrej rady i dalej pędzi żebraczy żywot.

RZECZY CIEKAWE.

Nowe plemię ludzi.

Pewien podróżnik amerykański, nazwiskiem Verril powrócił przed niedawnym czasem z naukowej ekspedycji po Ameryce Południowej, gdzie dokonał ciekawego odkrycia na granicy Boliwji i Brazylji. Żyje w tych okolicach plemię, liczące około 350 mężczyzn i kobiet, którzy nie mają żadnych cech podobieństwa z Indjanami, ani też z Azjatami. Chodzą oni całkiem nago, mężczyźni noszą długie brody i podobni są do mieszkańców wysp Salomona. Wierzą w istnienie duchów ukrytych w drzewach i kamieniach oraz w istoty o płynnem ciele. W przeciwieństwie do Indjan nie uznają słońca za bóstwo, nie liczą lat i nie znają swego wieku. Dotychczas żaden biały człowiek, który zetknął się z tem plemieniem, nie powrócił żywy. Pan Verril po wielokrotnych nieudałych usiłowaniach, zdołał wreszcie po siedemnastu latach nawiązać z nimi kontakt. Według niego, członkowie owego plemienia są resztkami „imigrantów", którzy tu przywędrowali kilka wieków wstecz z jednej z wysp położonych w południowej części oceanu Spokojnego.

Muzyka, jako środek leczniczy.

Sztukę tonów sławiono zawsze jako środek uspokajający dla ludzi. Nauka o leczeniu przyswoiła sobie zbawienne skutki muzyki na ducha ludzkiego. Jeden z najsławniejszych lekarzy amerykańskich dr. Charles Mayo wyraża zdanie, że muzyka pomaga trawieniu, reguluje obieg krwi, uspokaja nerwowe wstrząsy lub też wywołuje podniecenie w wypadkach przybicia psychicznego. W swym wielkim szpitalu w Rochester w Minnesota używa dr. Mayo muzyki jako środka uspokajającego nerwy pacjentów przed operacją lub też w celu wprawienia chorych po dokonanej operacji w dobry humor. Również jazzbandowi przypisuje dr. Mayo pewne dodatnie skutki, jednakże raczej podniecające. Szybki jego rytm i dysonanse oddziałują zdaniem uczonego na kość pacierzową i mózg wprowadzając w zupełnie naturalny sposób w nogi. Jazzbandu należy dlatego używać przy leczeniu flegmatyków i melancholików.

Historja laski.

W zamierzchłych jeszcze czasach kij — poprzednik laski — był wiernym i niezbędnym towarzyszem człowieka w długich i niepozbawionych zwykle niebezpieczeństwa wędrówkach. Pielgrzymi, kupcy i podróżni od niepamiętnych czasów nosili ze sobą kije, których używali do podpierania się lub jako broni do odparcia napaści. Pozatem kij, względnie laska, już w dawnych czasach posiadała pewne znaczenia symboliczne, była np. oznaką godności wodza, to znów godłem urzędujących.

Jako przedmiot mody, laska pojawia się dopiero w 17-stym wieku. Król francuski Henryk VI. był pierwszym panującym, który używał wykwintnego kija spacerowego. Sławną stała się laska hebanowa króla Ludwika XIII, ozdobiona gałką z kości słoniowej, do historji zaś przeszły drogocenne laski Ludwika XIV uwiecznione na licznych portretach „Króla Słońca". Ambicją owych czasów było posiadanie pięknego i cennego kija spacerowego, wskutek czego artyści i jubilerzy przesadzali się w stwarzaniu prawdziwych w tej dziedzinie sztuki, arcydzieł. Jednym z najzagorzalszych zwolenników tej mody był kardynał Richelieu, uważając za punkt honoru przechadzanie się z ozdobną laseczką.

Zaznaczyć należy, że za laski wydawano wówczas olbrzymie sumy, dochodzące do tysiąca, a nieraz i więcej dukatów. Jedną z najdroższych lasek, wartości 60 tys. rubli, ofiarowała cesarzowa Katarzyna II. królowi szwedzkiemu, Gustawowi III. Laska spacerowa miała — rzecz jasna — licznych i namiętnych zbieraczy. Jednym z najzagorzalszych był minister saski hr. Bruehl, który posiadał przeszło trzysta lasek z najrozmaitszych epok. Głośny był również pod tym względem ojciec kompozytora Meyerbera, Henryk Beer. Zbiór jego należał do najsłynniejszych w Europie. Jednak ta manja kolekcjonerska nie wyszła mu na zdrowie. Straciwszy na nią cały swój majątek, niefortunny zbieracz dostał pomieszania zmysłów i zmarł, trzymając w ręku dwa najpiękniejsze okazy swych zbiorów.

Miasto bandytów.

Według ostatnich policyjnych danych statystycznych, w ciągu zaledwie dwóch pierwszych miesięcy tego roku dokonano w Chicago 259 rabunków, rzucono 14 bomb, których eksplozje poczyniły wielkie zniszczenia i spowodowały śmierć wielu osób oraz popełniono 55 morderstw. Na terenie Chicago grasuje kilka zorganizowanych band, które dokonywują napadów w biały dzień z zadziwiającą brawurą.

Jednocześnie mimo surowych przepisów prohibicyjnych kwitnie niedozwolony handel wódką i piwem, a właściciele zakonspirowanych fabryk alkoholu zarabiają zawrotne sumy. W samem Chicago niedozwolony handel wódką przynosi im 70 miljonów dolarów dochodu rocznie.

Dziwne obyczaje.

W północno-wschodniej Syberji zamieszkuje plemię czukczów, którzy mają szczególną cześć dla podeszłego wieku. To też słowo starca jest tam prawem. Tem dziwniejszem wobec tego wydaje się zwyczaj mordowania starców, gdy tylko stają się niezdolni do pracy.

Starzec sam zazwyczaj wypowiada życzenie uwolnienia rodziny od swej osoby. Wprawdzie wszyscy namawiają go, by został przy życiu; jeśli jednak skutku to nie odnosi, zaprasza się wszystkich starców na okrutny obrzęd.

Podczas obrzędu podaje się ulubione potrawy starca, przyczem on sam głośno modli się i udziela rad młodym. Po pewnym czasie zakłada mu się pętlę na szyję, a rodzony syn dusi ojca swego.

Zdarzyło się raz, że z powodu nieobecności syna córka zadusiła starca. Starzec — o którym myślano, że już nie żyje — przyszedł do przytomności i opowiedział, co widział po tamtej stronie życia. Mimo to na bardzo wyraźne życzenie został ponownie uduszony przez jednego z obecnych mężczyzn.

W zapale przemówienia.

W mieście francuskiem St. Villeneuve podczas otwarcia szkoły powszechnej przemówił do dziatwy szkolnej pewien radca w następujący sposób: „Młodzieży obojga płci! Przyjdźcie ssać pierś intelektualną waszego nauczyciela i waszej nauczycielki, by karmić się wyborowem mlekiem republikanizmu, gdyż szkoła powszechna, będąca przyszłością Francji, jest dostępna dla wszystkich warstw ludności i absolutnie bezpłatna..." Ach, ci mowcy! Szkoda jeszcze, że pan radca nie powiedział, w jaki sposób będą karmieni ci nauczyciele, których ma ssać tyle dzieci.

„Promieniści“. W tych dniach powstał w Krakowie ludowy związek artystyczno-literacki „Promieniści“. Związek, jako organizacja ściśle bezpartyjna, skupia pisarzy, poetów i artystów ludowych, piszących i działających dla ludu. Siedziba Związku mieści się w Krakowie przy ul. św. Filipa L. 12, I. p. Za Komitet organizacyjny: *Dr Stanisław Kulpa, Robert Rydz, Franciszek Lipiński, Dr Władysław Koss, Wilhelm Rosiek, Dr Fr. Dziadkowiec, Michał Rusinek, Józef Sadulski.*

Odpowiedzi Redakcji.

Na konkurs dla poetów nadesłali jeszcze swe utwory pp.: Władysław Bienias z J., „Efym“ z S. i Karol Tomaszek z Cz. Jak wiadomo termin nadsyłania utworów upłynął dnia 1 b. m., wobec czego w tym tygodniu przeczytamy wszystkie nadesłane prace, wybierzemy z nich trzy najlepsze do nagrody, które też w jednym z najbliższych numerów „Roli“ wydrukujemy. Może być, że i prócz nagrodzonych znajdą się i inne godne druku, więc byśmy kilka z nich również wydrukowali, aby Czytelnicy nasi mogli się przekonać, jak to można tworzyć najrozmaitsze wiersze o jednakowych rymach. — **Jan Pelczar:** Otrzymaliśmy dziękujemy. — **Wincenty Kuglin** w K.: Takiego głupiego żyda niema na całym świecie. Nie do druku. — **K. Ł. Łza** w W.: Numer 19 „Roli“ musiał być znacznie przyspieszony w druku z powodów od Redakcji niezależnych, więc też wierszyk się spóźnił, a szkoda, bo dobry. — **Jakób Poss** w K.: Zagadka dobra. — **Józef Kapuściński** w K.: Wierszyk dobry, a jakże prawdziwy! — **Karol Nurek** w D.: Obydwie powieści zbliżają się ku końcowi. Mamy już przygotowane inne, które będą nadzwyczajnie ciekawe. Bliższe szczegóły podamy wkrótce. — **„Jerychonka“:** Artykuł zupełnie dobry — zamieścimy. — **Donat Lesiowski** w W.: Druk zaczniemy z początkiem drugiego półrocza. — **B. January Wilk** z D.: Owszem możemy się tą sprawą zająć, a przez to druk wypadnie blisko o połowę taniej. Razem już z opłatą pocztową nie będzie kosztował więcej jak 33 zł. za 1000 egz. Prosimy zrobić zdjęcie fotograficzne i przesłać nam odbitkę (fotografję). Wzajemnie pozdrawiamy. — **Jan Ligocki** w K.: Otrzymaliśmy wyjaśnienie agencji pocztowej w Koniakowie, w którem kierownik tej agencji donosi w odpowiedzi, że „Rolę“ Pan już! otrzymał, a dlaczego była spóźniona niewiadomo! i że agencja poczt. w Koniakowie w tym samym dniu doręcza, w którym otrzyma? Ślubakom możnaby taką historyjkę opowiadać, możeby uwierzyli. Gdzież numera przez dwa miesiące składano i przetrzymywano? w ambulansie pocztowym? Jeżeli Pan jeszcze raz będzie miał zatrzymane egzemplarze, to prosimy donieść nam, a do agencji udać się po „Rolę“ z energją. — **Franciszek Krężołek** w Cz.: Kalendarzy już nie mamy — za kilka miesięcy będą nowe. — **Piotr Wenc** z Ś.: W tej sprawie byliśmy w banku Holzera, który odesłał nas do Banku Polskiego, zaś Bank Polski do banku Holzera i nic jeszcze nie wiemy.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 2 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·11 do 1·74 zł.	Jałownik	od 1·01 do 1·77 zł.
Woły	od 1·32 do 1·75 zł.	Cielęta	od 1·36 do 1·95 zł.
Krowy	od 0·72 do 1·70 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·80 do 2·10 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·40 do 2·85

Zagadki do nagrody.

1. Łamigłówka.

(Ułożyła Stefa Halpernówna z O).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Stolica.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Sól.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Sprawozdanie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyrząd do mierzenia głęb.
■ ☆ ☆ ☆ Nic.
■ ☆ ☆ Nazwa psa.
■ ☆ Zaim. niemiecki.
■ Samogłoska.

Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą nazwę stolicy.

2. Szarady.

(Ułożył Gabrjel Wirstnik z Szcz.).

I.

Trzecie wspak i pierwsze wprost przez Turków lubiana
Lecz i u nas i gdzieindziej, wszystkim dobrze znana.
Tylko baczność w zgadywaniu czytelnicy mili,
Byście czwartego-pierwszego, przytem nie strzelili.
Bo kto ciągle ma tę wadę, to już nie jest żart,
Ten jest pierwszego drugiego i nic więcej wart.
Całość szukaj sam mozolnie, nikogo nie pytaj,
Weź do ręki „Quo Vadis“ uważnie przeczytaj.

II.

Gwałtu! proszę was przyjaciół, wiem nie odmówicie
I trzeciemu strapionemu, drugiej czwartej dacie
Jam nie szermierz! więc nie dziwcie się kłopotu mego
Jeśli widzę drugi pierwszy i plus pół drugiego,
Z którym do mnie srogi Hiszpan nie na żart się składa
A za całością aż w Egipcie szukać nam wypada.

3. Kwadraty magiczne.

(Ułożył Henryk Biłka-Głębicki z S.).

I.

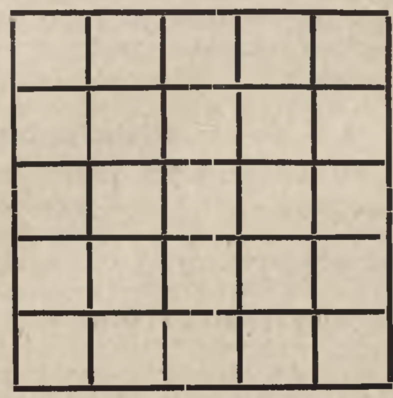
■ ■ ■ ■ ■ Herb.
■ ■ ■ ■ ■ Marka zegarków.
■ ■ ■ ■ ■ Rodzaj zagadek.
■ ■ ■ ■ ■ Zwierzęta amerykańskie.
■ ■ ■ ■ ■ Niewola inaczej.

II.

■ ■ ■ ■ ■ Rzeka w Azji.
■ ■ ■ ■ ■ Kaleka.
■ ■ ■ ■ ■ Zły duch.
■ ■ ■ ■ ■ Ugoda inaczej.
■ ■ ■ ■ ■ Góra biblijna.

5. Łamigłówka w kwadracie.

(Ułożył T. Kwerka z W.).



W kratkach powyższej figury umieścić wyraz „matka“ tak, ażeby można go było przeczytać w 24 różnych sposobach.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 19 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 18 „Roli“: 1. Logogryf: Rewolucja francuska. 2. Szarady: I. Katarynka. II. Kiełbasy. III. Karnawał. 3. Zagadki: I. Polska. II. Armata. III. Potas. IV. Katar. V. Lewkonja. 4. Adres: Kurator, sędzia, adwokat, poseł, redaktor.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Józef Kapuściński z L., Feliks Popielarczyk z W. D., Jan Styś z N. i J. Zajączkowski z S.

Nagrody wylosowali pp.: Józef Kapuściński i Jan Styś.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

U nowobogackich.

— Ależ panie, to niemożliwe, żeby to był pana portret. Przecie pan wygląda conajmniej o piętnaście lat starzej, niż w rzeczywistości!

— Umyślnie dałem takie polecenie malarzowi, bo ten portret ma nam na długo wystarczyć.



Z przyrody.

— Wielbłąd może osiem dni pracować, nie pijąc — opowiada p. Piwiarski żonie przy obiedzie.

— O, to mi wielka rzecz! Ja znam wielbłąda, który umie osiem dni pić, nie pracując wcale! — odpowiada żona.



Nie mógł dłużej.

— No? Czy rozstrój żołądka już panu przeszedł? Usłuchał pan mojej rady i pił pan godzinę przed śniadaniem szklankę ciepłej wody?

— Ach, panie doktorze, robiłem, co mogłem, ale dłużej, niż dziesięć minut nie mogłem pić...

Nawet.

— Ach, najdroższy — rzekła do mnie —
Powiedz, proszę, najgoręcej,
Wszak mnie kochasz nie dlatego,
Że mam własnych sto tysięcy?
— Ach, broń Boże! — jej odrzekłem —
Uspokój się, moja mała,
Kochałbym cię wierz mi przecie,
Nawet gdybyś miljon miała!



Cięta odpowiedź.

W przedziale wagonu siedzi kilku panów i jedna pani. Jeden z panów pali, puszczając kłęby dymu. Pani oburzona zwraca się do palacza:

— Gdybym była pana żoną, wsypałabym panu do kawy trucizny!

— A gdybym ja był mężem pani — odpowiada palacz, przyglądając się brzydkiej damie — chętniebym przyjął truciznę.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 4 maja b. r.

Pszenica .	58·00—60·00	Słoma długa	10·00—12·00
Żyto .	54·00—55·00	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies . .	47·00—48·00	Koniczyna na-sienn. czer.	340·00—350·00
Jęczmień .	46·00—48·50		
Łubin żóły	27·00—28·00	Otręby żytnie	34·50—35·00
Fasola biała	58·00—62·00	Mąka żytnia	78·50—79·50
Groch zwyk.	59·00—61·00	Mąka pszen.	92·00—93·00
Siano słodk.	18·00—20·00	Otręby pszen.	34·00—35·50
Koniczpastew.	22·00—23·00	Mąka czerw.	38·00—39·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.